



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

MAŁGORZATA SABAUDZKA

KRÓLOWA WŁOSKA.

Kobieta, której imię brzmi dziś najgłośniej w Europie, której wdzięki i cnoty byłyby niegdyś sławione w pieśniach trubadurów, do której i dziś najpierwszy poeta jej kraju woła: „O ty dobra...” to królowa włoska, Małgorzata Sabaudzka, czczona i kochana przez cały swój naród, bez różnicy partyi i przekonań politycznych. Księżniczka genuńska z domu, więc bliska krewna swego męża, z tej co i on rycerskiej krwi zrodzona, mająca w piersi tesame co on uczucia i porywy—kocha tak jak on włoską swoją ojczyznę, rozumie jej pragnienia, wiary, nadzieje i przez wszystkie węzły tej łączności z narodem swym i małżonkiem, przedstawia razem najpiękniejszy i najszcześniejszy typ kobiecości na tronie.

W panowaniu nad sympatjami serc następczyni królowej Wiktorii angielskiej, posiada jeszcze w skarbcu swego losu jeden więcej klejnot drogocenny—jest piękną i razem jest pierwszą królową Włoch Zjednoczonych, pierwszą monarchinią włoską, której tron wznosi się w Kwirynale. Serca ludzkie kochają czasem za szczęście tak, jak za cnotę, lecz to już jest niewątpliwie cnotą królowej Małgorzaty, że ze swego szczęścia cnotliwie korzystać umie, że potrafiła się stać w radośniej wiosnie Włoch odrodzo-



Małgorzata Sabaudzka, Królowa Włoska.

nych ich poezją. Czysta, podniosłego ducha, z gorącym sercem w piersi szlachetnej, świeci wśród kobiet swego narodu przykładem dobrej żony i matki—kobiety uczciwej, a jest to niemala rzecz dla narodu włoskiego, że w tym momencie historii swojej, posiada na tronie kobietę taką. Królowa Małgorzata to przy pierwszym organizowaniu się nowego życia narodu uzacniająca, uszlachetniająca wpływ, na kobietę włoską wywarty, podniesiona wysoko idea rodziny i cnoty domowej, w węzle świętym z cnotą publiczną zadziergniętej. *La graziosissima*, jak naród włoski monarchinię swoją zowie, jest najgorętszą i w kraju swoim patriotką i wszystko włoskie—od rzeczy najdrobniejszej do najwyższej: od codziennego obyczaju życia, do ofiarniczego pojęcia się kobiety jednostką czynną w ogóle swoim—wszystko to ma w niej wierną i troskliwą, niemal że surową stronniczkę. Piękna, młoda jeszcze, szczesliwa, czująca się kochaną od wszystkich, co ją otaczają, *la graziosa sovrana* lubiła i lubi dotąd ubierać się ładnie, lubi ukazywać się powabną oczom ludzkim i dla francuskiej elegancji dla francuskiego gustu w Paryżu też kazala szyć swoje królewskie stroje, aż do czasu, gdy raz Crispi, przymówił jej to w sposób, który inna, niż ona osobistość, mógł obrazić: „Wobec pięknej toalety musi zawsze ustąpić na bok patriotyzm kobiety” — rzekł raz ironicznie na balu dworskim, wobec królowej, świetnie ustrojonej w parzyką suknię, jak to stwierdzał swemi uwagami ambassador angiel-

ski, lord Paget. Otaczający zmieszali się, sądząc że królowa uczuje się obrażoną, lecz ona, zrazu nie rozumiejąca znaczenia tych słów, gdy jednak myśl ich pojęła, rzekła natychmiast bez cienia obrazy w głosie i wyrazie twarzy: — Nie masz racji panie ministże, w tem co mówisz, ale dziękuję żeś mi zwrócił uwagę na błąd, którego się dopuszczałam bezmyślnie. Nie powinnam wydawać włoskich pieniędzy za granicę i przyrzekam ci, że ostatni raz mam na sobie strój paryzki.

Teraz Crispi zmieszal się i chciał tłumaczyć, ale ona nie dała mu skończyć i wyciągając do niego rękę z powagą i szczerością razem powtórzyła: — Dziękuję...

Nigdy odtąd nie złała danego słowa i co więcej, te tylko z pań włoskich są jej rzeczywiście mile, które ją naśladują pod tym względem.

Wymaga ona, lecz już surowiej, aby naśladowaną była i w rzeczach innych — rzeczach wyższego, donioślejszego znaczenia: tylko dobre żony i matki, tylko kobiety obyczajów nieskażonych, te, na których nie ciąży lekkomyślność żadna, dopuszczone są do bliższych z królową stosunków, do bliższego z nią zetknięcia. Innym, podobnie jak królowa Elżbieta Rumuńska, która może z niej wzór sobie wzięła, pozwala co najwięcej na hold dotknięcia ustami ręki swojej przy posłuchaniach publicznych, ale nie nadto — owija się w obec nich w majestat nie tylko już królowej, ale kobiety czystego życia i cofa się w głąb.

Przecież zwykle jest bardzo przystępna, co zyskała jej głównie miłość i popularność wśród włoskiego ludu — bardzo towarzyska, wesoła, miłego usposobienia, posiada wielki wdzięk wobec się pełnem prostoty i uprzejmości dla każdego, komu da zbliżyć się do siebie. Przesądów kastowych zdaje się nie posiadać wcale i pierwsza szuka ludzi uczonych, literatów, sztukmistrzów wyższego znaczenia, nie kładąc żadnego nacisku na różnice przekonań politycznych, byle tylko znajdowała obok nich szczerść i prawosć uczciwego życia. Sama bardzo muzykalna i obdarzona miłym głosem mezzo soprano, posiada wysokie zamiłowanie, wysokie uwielbienie muzyki i poezji, która szczególnie jest zdolna unosić ją gorąco. Umie na pamięć połowę poezji pierwszego dziś poety włoskiego, Carducci'ego i gdy wkrótce po wstąpieniu na tron króla Humberta, objeżdżała z nim (1878 r.) Włochy, w drodze do Brescio zadziwiła ministra Zanardelli, gdy przebywając pewną miejscowość, po nad którą unosi się wspomnienie jakiegoś historycznego dramatu, poczęła deklamować z zapalem odpowiadającą temu odę Carducci'ego.

Jest on najsilniejszym republikaninem nowożytnego odcienia; napoły poganin, cofający się nie tylko w sztuce do wieków Odrodzenia, ale zarazem gorący, namiętny patriota włoski i królowa dlatego z uniesieniem poezje jego przyjmuje, na pamięć ich się uczy, i zdaje się w sercu je nosić, skoro w takiej oto chwili wzruszenia, na widok miejsc uświęconych pamiątką dziejową z jej pięknych ust popłynęło kilka strof, poświęconych przez poetę minionej wielkości swego narodu. Zanardelli zapewne rzecz rozgłosił, bo za przybyciem królestwa do Bolonii, Carducci, oddzielając się w tem od partyi swojej, zachciał złożyć królowej hold osobisty, przedstawiając jej się, jako „najszlachetniejszej z cór Italii.“

Wdzięczne obejście się i szlachetne słowa królowej, z pomocą może jej uroku pięknej kobiety sprawiły, że namiętny przeciwnik królewskości napisał odę: „Do królowej“. W niej to ostatnia strofa śpiewa: — „Cześć ci, o ty Dobra! póki obrazy Rafaela ukazywać się będą w światłocieniu mroków włoski h, póki dźwięki pieśni Petrarkowej będą wzdychać wśród laurów — cześć niech ci będzie!..“

Siwowłosa już republikanin, lecz zarazem i weteran z czasu dawnych walk o niepodległość Włoch, zbratany z królem Wiktorem Emanuelem bratersstwem najświętszej w sercu ludzkim miłości, hr. Aurelio Saffi, napisał wtedy dwa listy otwarte: jeden do królowej Małgorzaty, w którym błogosławi ją za to, że przez czystą miłość ojczyzny goi rany rozdartego w czasach niedoli na dwie części serca Italii. Drugi był do

poety, któremu daje poklask, że czei dobro i piękno, więc to, co po wszystkie czasy i ludy czei będzie godnem.

Nieszuczne i nie na pokaz zmyślane, ale szczerze i głębokie zainteresowanie się królowej sztuką ojczystą i pomnikami ojczystej przeszłości, sprowadziło jej, jakoby urząd patronki tych rzeczy i rzymska akademia malowania — Akademia Św. Łukasza, do niej, zamiast do syndyka miasta, zwraca się z prośbą o opiekę nad malowniczymi szczątkami starożytnego Rzymu, którym nowożytnie przebudowywania się miasta grozi zagłada.

I nasza prośba o uratowanie starej pamiątki, celi Ś-go Stanisława Kostki, do niej także się odzywa. Ze wszystkim, co jest rzeczą uczucia, uszanowaniem świętości serca jej się ludzie pod opiekę oddają.

Syna jedynaka, dopóki rzecz była możliwą, przy kochającym sercu trzymała, sama uczyła, a potem pilnowała jego nauki, jej kierunku. Dziś przecież jestto młodzieniec mający rok siedemnasty i matka musi z troskliwości swojej coś ustąpić, ale dotychczas chce zawsze wiedzieć, co czyta i zajmuje się wyborem książek dla syna, który jak też kocha te dobrą, piękną matkę swoją! Istnieje opowieść, że gdy dwunastoletni zwiędzał z nauczycielem Wenecją, zobaczył u jubilera szczególnie piękne i wielkie korale, naszyjnik bardzo wytwornie dobrany, i zapragnął kupić go dla matki; — ale cena była za wysoka na kieszeń królewskiego chłopięcia i smutny wyszedł ze sklepu. Na ulicy przyszła mu do głowy myśl nowa. Pobierał od rodziców pensję miesięczną, więc mógłby nabywać piękne korale częściowo, na co nauczyciel pozwolił, a jubiler przystał. Chciał je oddać na kredyt, ale przyszłemu królowi Włoch nie wolno było zaciągać długów, więc piękny naszyjnik był spłacany co przez rok, czy dłużej nawet, ratami wnoszonymi regularnie, o czem rodzice jakoby nic nie wiedzieli do końca, a obecnie szczęśliwa matka nosi podobno, nigdy z szyi nie zdejmując, pod suknią schowany ten dar syna, który stał się dla niej relikwią jego miłości. Donosiły o tem dzienniki, potem ktoś zaprzeczył prawdziwości historyi, ale to jej prawie nic nie umuje wzruszającego piękna, bo co to za para matki i syna, o których ludzie takie bajki tworzą?

Podobno niezawsze królowa była równie, jak dziś szczęśliwą małżonką, ale przecierpiała z godnością to, i dziś jest nie tylko najwyższą kochaną, ale najwyższą szanowaną żoną, i Umberto I wie, jaki skarb prawdziwej miłości dostał mu się w podziale życia. Gdy 1878 roku w Neapolu nóż mordercy błysnął królewskiej parze przed oczyma, gdy szalony zbrodniarz, Passanante, skoczył na stopień powozu, który wśród tłumów ludu, upojonego radością, powoli się posuwał, ona rzucając się sobą naprzód, krzyknęła tylko na siedzącego na przodzie ministra Cairoli: — Ratuj króla...

Nie wołała: — Ratuj mnie...

Cairoli, jak wiadomem jest z historyi, kalecząc sobie ręce, zdołał nóż z rąk fanatyka wyrwać, ale wstrząśnięcie było tak silne, że królowa lat kilka nie mogła przyjść do siebie, jej nerwy i razem jej serce cierpiało, ale nie zatrulo się złością, nie przepoiło goryczą, choć w pierwszej chwili wypadku wykrzyknęła boleśnie: — Ha! czar pękł... Gdy parę lat temu cholera wybuchła na południu Włoch, gdy w Neapolu właśnie srożyła się w sposób przerażający, ona nie bronila jednak królowi jechać pomiędzy ten biedny, ciemny, nawpół barbarzyński lud, który trzeba było prawie gwałtem ratować. Mógł tego dokonać tylko on sam, tylko jego osobiste ukazanie się między oszalałym z trwogi tłumem i historia zapisze to kiedyś, że królowa Małgorzata, ani jednym jękiem trwogi o kochanego tak gorąco męża, nie stanęła między nim a jego poświęceniem. Gdy wagon, który powieźć go miał na plac przerażającego boju z widmem zarazy — z dziewicą morową, miał ruszyć, stała się nagle tak smiertelnie błada, że król już się cofał i chciał odwiec wyjazd, ale ona kładąc mu łagodnie rękę na ramieniu, potrząsnęła głową. — Nie, Humbercie... — rzekła — nie... Jest Bóg i Jego wola...

Pokazało się więc, że czar nie pękł — że miała ona zawsze przy sobie ducha heroicznego natchnienia, bohaterskiej rady. Że królowa jest odważną kobietą, że posiada pewne wspaniałe nawet porywy dumnego męstwa, pokazała w chwili gdy z Rzymu jadąc właśnie do Neapolu, królewska para chciała być i w Sycylii. Wieczorem w chwili wyjazdu nadszedł ze stacyi morskiej telegram, że morze okazuje pewne znaki niedobrego wzbudzenia, a na niebo zaczynają napływać chmury, mogące niepokoić i zaczęto się namyślać, czy wyjazd odłożyć, królowa przerwała narady słowami, które są hasłem na herbowej tarczy sabaudzkiego domu: — Semper avanti, Savoja! Parowiec królewski wypłynął z neapolitańskiego portu, przy piętrzących się już bałwanach i posepnie chmurami zasłoniętem niebie, ale gdy dopłynięto do brzegów Sycylii, tyjące zentuzyzmowanych głosów powitała królewską parę okrzykiem: — Semper avanti, Savoja! Okrzyk ten stał się od tej chwili przysłowio- wym w całych Włoszech; młody książę następca używa go często, gdy tylko trzeba mu jakąś trudność pokonać i raz podobno miał głośno wykrzyknąć stare to hasło przy zawilem zadaniu z matematyki, do którego zabierał się ociągając, a królowa, która znajdowała się wtedy obok niego, schyliła się ku siadającemu do roboty i pocałowała w głowę, zostawiając na niej łzę...

Jak słodką musiała ona być dla niej — dla matki, widzącej, jak z natchnienia jej ducha poczęta, szlachetna siła w młodą pierś jej syna wstępuje!

Aż do chwili, w której książę następca przeszedł w ręce opieki mężkiej, z matką odmawiał codziennie ranny i wieczorny pacierz. Z natury swej uczuciowości królowa Małgorzata jest religijną, z przekonania i tradycji katoliczką. Pragnie papieżstwo z monarchią włoską pogodzić, lecz nieprawdą jest, co głosi o niej partya nieprzejednanych gwałtowników, jakoby była ślepe i bezrozumne narzędziem intryg, przeciw jej ojczyźnie spiskujących. Nikt z poważnych mężów stanu Włoch temu nie wierzy.

Królowa Małgorzata, jak cały dom Sabaudzki, jest silnie patriotycznych uczuć i to jedna jej szczególnie przywiązanie Wiktora Emanuela, który dobrą i piękną, szlachetną synową swoją bardzo kochał i od niego to w darze posiada ona te sławne szmaragdy, w które stroić się lubi, a które przy jej świetnej płci, przy bujnych ciemnobłęd włosach, jak jedwab' miękkich, długich i niezmiernie obfitych, wspaniale odbijają. Klejnoty korony włoskiej są też rzadkiego bogactwa, a król Humbert obdarzył jeszcze żonę perłami, nieporównanej piękności i dyademem jakimś pysznym. Perły te mają dla królowej, podobnie, jak wyżej wspomniane korale, jakieś swoje szczególne, mistyczne znaczenie, należące do tajemnic jej serca. Mówią, że kładzie je na łabędzią swą szyję wtedy głównie, gdy chce być piękną dla męża.

Małgorzata Sabaudzka jest przecież mimo swych kobiecych gustów do pięknych draperyi, bogatych, świetnych tualet, umysłem niepospolitym i posiada prawdziwe, poważne wykształcenie. Mówi i pisze dobrze, szlachetnie, jakkolwiek pisarką mimo prób w tym kierunku zostać nie mogła, bo niedość jeszcze czuć i myśleć podniosłe, potrzeba posiadać pewną twórczą siłę wyobraźni na której jej zbywa. Ale posiada ona sztukę bynajmniej nie niższą, a dla jej własnego szczęścia ważniejszą nad wszelkie autorstwo: potrafi z żywego życia tworzyć szlachetny poemat, potrafi idealne piękno uczucia, idealną myśl poetyczność w co żywe życie wcielać i wkoło siebie roztaczać dobro, uszczęśliwiać! Dość tego, aby mieć swoją drabinę Jakubową, która między niebem i ziemią rzucona, stoi, i po której duchy czyste, anioły skrzydlate krążą, z góry na dół schodząc i z dołu dążąc ku górze. Z uśmiechem też szczerem, nieudaniem, mogła się ludziom przyznać, jak to czytelnicy nasi wiedzą z zeszlomienięczonej korespondencji włoskiej — że zrobiła w literackiej swej karierze *fiasco*. Próby czynione zostana tylko pamiątką jej zawsze szlachetnych aspiracji.

Królowa Małgorzata mówi doskonale czterema językami i czyta w nich wszystkie wyższego zna-

czenia publikacje, nietylko w zakresie belletrystyki. Dzieła historyczne zajmują ją szczególnie i ona to miała wszczepić synowi gust do rzeczy historycznych, do poszukiwań starożytności włoskich. Jak umie szanować pisarzy wyższego talentu, zwłaszcza takich, co natchnieniem z ducha narodu swego biorąc, bratniem sercom je oddają, dowodzi jej życzliwość dla Kraszewskiego. Sprawił to wprawdzie Corenti, przyjaciel nasz dawny i literaturę naszą znający, ale trzeba się zawsze od kogoś dowiedzieć, że jest coś sympatii naszej godnem, aby sympatya tę z piersi sobie wypromienić. W zdolności takiego jej wypromieniania, a nie rozrzucania bezmyślnie, na prawo i lewo, leży sztuka i zasługa żywotów szlacheckich—sztuka i zasługa pięknej królowej włoskiej, Małgorzaty Dobrej.

Jak jej cnoty rodzinne i publiczne we Włoszech cenić umieją, jak znają tam jej wartość moralną, dowodzi charakterystyczny dar pań florenckich, zbiorowo jej ofiarowany, w tym właśnie czasie. Jest to pyszny wachlarz biały atlasowy, w oprawie z hebanu, nabijanej złotem. Na atlasie znajduje się pędzlem malarza włoskiego Volpi wykonane malowidło: krajobraz włoski w różowym świetle poprzedzającej słońce jutrzeńki, na pierwszym planie grupa postaci niewieści w greckim stroju: królowa Małgorzata, którą otaczają: Wiara, Nadzieja, Miłosierdzie, Religia, Praca. W głębi widnieją siedm innych postaci: Mądrość; trzy Gracye, Skromność i Kobieta—małżonka, będąca też potretem królowej. Też geniusz ojczyzny włoskiej kładzie wieniec na głowę. Warto żyć, cierpieć nawet, byle gorąco kochać i takiego rodzaju cześć odbierać.

M. Ilnicka.

SONETY DANTEGO

w przekładzie Felicyana.

(XIV).

Ten w szczęśliwości wszelkiej uczestniczy,
Kto dziewczę moje ujrzał gdzie, wśród grona
Pań, z których każda hojnie ozdobiona
Zda się być tylko dworką Beatryczy.

Jej piękność tak jest wielka w swej słodyczy,
Że zamiast zazdrość budzić—owszem ona
Drugim od siebie zdoła dać znamiona
Miłości, wiary, oraz czci dziewiczej.

I przed nią każdy skłania skroń w pokorze—
I samolubnym nie jest jej niewieści
Czar, lecz i drugim swej udziela cześci.

I jest w jej czynach takie tchnienie Boże,
Że nikt pomyśleć o niej nic nie może,
Aż wprzód miłosna słodycz go rozpiesci.—

POGA WĘDKA

Albo to był grad,—to były knedle lodowe, to były bomby mrożone, to były granaty, któremi niebo od trzydziestu lat poraz pierwszy potraktowało przed dwoma tygodniami ziemię w samą porę obiadową.

Piękną niespodziankę na deser zrobiono w Warszawie; ażeby lepiej upamiętnić chwilę niebieskiej kanonady, zapisaną na tysiącach szklanych tablic w oknach naszych domów, jedna z gradowych kul wybiła dziurę pod samą godziną czwartą na tarczy któregoś z zegarów miejskich.

Po dachach bębniło, jakby na alarm; w ogrodach i sadach gałęzie, liście, kwiaty, wróble i wrony

spadały garściami posiekane gradem, miasto wyglądało jak po rabunku, albo po kocięj muzyce; powybijanych szyb mnóstwo do dzisiejszego dnia świadczy o figlach żywiołów, szklarze od rana do nocy uwijają się i nastarczyć nie mogą zapotrzebowaniom.

Napisaniem było widocznie w wyrokach losu, abyśmy mieli swoje katastrofe na północy, jako *pendant* do katastrofy na południu; tam się ziemia zatrzęsała, tu niebo—tam od dołu, u nas od góry groziło niebezpieczeństwo.

Nordenskiöld, słynny podróżnik szwedzki, który podczas pamiętnej burzy bawił w Warszawie, dzieląc swój czas pomiędzy studia nad Ptolomeuszem, znalezionym w jednej z prywatnych bibliotek, a narady z adwokatami w sprawie jakiegoś spadkowego procesu, zabrał z sobą, jako osobliwość warszawską... fotografią lodowych brył, któremi nas niebo zbombardować chciało.

Zapewniała mnie jedna z bardzo przesądnych pań, że wszystkiemu winne są ludzkie złe języki; jak zaczęły przepowiadać jakieś nieszczęścia, katastrofy, wypadki, koniec świata, tak wywróżyły: moja znajoma upatruje w tem nową niemiecką intrygę i pięście zaciska na Dr. Falba, astronomia i meteorologa wiedeńskiego, który co chwila alarmuje Europę nowymi przepowiedniami złego; teraz znów na Czerwiec zapowiada cały szereg atmosferycznych awantur a jeżeli „na szczęście“ dla jego sławy spełnią się te wróżby zło-wrogie, ziemia w pewnych miejscach wyglądać będzie, jak sito podziurawione.

Zbuntowały się przeciw ludziom żywioły; jedyna obrona przeciw nim w... towarzystwach assekuracyjnych od gradobicia, pożarów, wylewów, nagłej śmierci i t. p. przypadłości, których spodziewać się nam każą coraz częściej.

Nieszczęście nie chodzi w pojedynkę, powiada francuzkie przysłowie—ale od pewnego czasu zbyt liczną gromadą włóczy się po Bożym świecie, to istna banda rozbójnicza!...

Człowiek traci ostatnią kropelkę dobrego humoru, nos mu spada na kwintę w trzeciej oktawie, że sobie go omal własnymi nogami nie przydepuje, a tu ciągle coś nowego zapowiadają.

W dobrą porę zesłała nam Opatrzność p. Gustawa Fiszera do Warszawy, którego monodramy ratują nas od ostatecznego *spleenu*; Towarzystwo opieki nad biednymi matkami wydzierżawiło sobie talent lwowskiego artysty i cztery razy zrobiło na nim wyborowy interes, zwabiając tłumy publiczności, żadnej śmiechu i zabawy do Resursy Obywatelskiej.

Okazało się, że rozgłos poprzedzający p. Fiszera nie był przesadną reklamą; p. Fiszera to talent w swoim rodzaju oryginalny i niepospolity, na wzór słynnego ongi komika Levasseur'a, który przed wieloma laty objeżdżał większe miasta europejskie i zadziwiał wszystkich swojemi produkcjami.

Nasz artysta celuje głównie w odtwarzaniu typów z galicyjskiego bruku; zmienia się, jak Proteusz, że go poznać trudno. Raz jest wybornie pochwyconym z natury bakalarzem starej daty, drugi raz typowym terminatorem szewskim, to znów urzędnikiem i biurokratą galicyjskim, lub pijanym chłopem wobec „przeświętnego trybularza“, albo doskonałym urlopnikiem, który był „forysiem u pana lejtnanta“; najlepiej wszelako wychodzą w tej żywej galerii sylwetki żydów, chałcziarzy, mówiących mieszaniną żargonu i łamaanej polszczyzny. Rozmaitość ta wielka, dar naśladowania zadziwiający, spostrzegawczy zmysł w najdrobniejszych szczegółach wysoce rozwinięty, a co najważniejsza, że w tym prawdziwym realizmie niema przesady.

P. Fiszera odtwarza postacie pospolite, typy brukowe, mieszczuńskie, ustrzega się jednak trywialności, nie jest niesmacznym, nie blaznuje w swoim komizmie; trzeba się brać za boki, gdy jego handełsz zaczyna szwargotać i opowiadać o licytacji, albo gdy inny jakiś faktor hotelowy opisuje przyjazd wędrownego trupy aktorów do miasteczka, ale nie potrzeba sobie oczu zasłaniać, ani odwracać się od tych figur na estradzie nawet wtedy, gdy one ludzko nasładują pijanego chłopca, lub podchmielonego pana majstra.

Artysta zdobył sobie odrazu publiczność war-

szawską, dla której tego rodzaju talent i specjalność były nowością.

Każde większe miasto ma swoją właściwą publiczność, o której niegdyś Heine złośliwie powiedział: „publiczność wiele ludzi skupia, dlatego mądra jest i głupia“; o naszej trudno się krańcowo wyrazić, ale trzeba jej oddać tę sprawiedliwość, że stara się być w swoich gustach dosyć wybredną i choć się śmiać lubi bardzo, nie zachwyca się buffonadą i szarżą, a w trywialności nie smakuje.

Miałem tego świeży dowód na przedstawieniu bardzo płytkiej i bezmyślnej francuzkiej farsy p. t. „Zmykajmy“, którą przez grubą pomyłkę wprowadzono na scenę Rozmaitości i otoczono szczególniejszymi względami, jakich niejedna oryginalna sztuka nie mogła się doczekać; publiczność śmiała się, bo trudno było nie śmiać się z idyotycznych pomysłów i przesady w figurach i sytuacjach, ale jednocześnie wzruszała z niesmakiem ramionami, dziwiąc się zapomnieniu reżyssery i zaparciu poważnych artystów, poświęcających swój talent, czas i pracę dla takiego sztucznydła.

Już-to w ostatnich czasach kierownicy naszego dramatu i komedyi i opery, nie mieli szczęśliwej ręki; teatr nowy przy ulicy Królewskiej najął sobie „Dorożkę N 117,“ w której francuzki cynizm z nieprzyzwoitością zajechał kawalerskim klusem na warszawską scenę.

W operze popisuje się niefortunnie młody tenorino, p. Copola, sprowadzony przez baletmistrza p. Mendezę z Włoch; jestto słowik jeszcze nie wypierzony, który z werwą młodego koguta, próbuje swojego głosu, a ma zaledwie trzecią część organu p. Myszugi, — prawda, że też z trzecią część wynagrodzenia od występu naszego miejscowego Italiania śpiewa na scenie.

W dramacie rozpoczynają się gościnne występy artystów zamiejscowych; szereg ich otwiera p. Roman Żelazowski, pierwszy amant i bohater sceny lwowskiej. Talent to wybitny, rutynowany, szerokiej skali, sięgającej w repertorze od „Wicka i Wacka“ do „Ludwika XI-go,“ od Straszka w „Rozbitkach“ do Franciszka Moora w „Zbójcach,“ od „Keana“ do „Ryszarda III-go“ i „Uriela Acosty.“

Szkoda, że nie możemy p. Żelazowskiego zobaczyć w jego popisowych kreacyach, ale na naszej scenie zapanował wszechwładnie mały rodzaj repertuaru, mieszczuńska komedia obniżyła poziom sztuki, szlachetniejszy, podniosły styl całkiem wykluczono za nawias, już dramat niechętnie jest widzianym na scenie, a cóż dopiero mówić o tragedyi!... parodia jej miałaby jeszcze wolne miejsce w repertoarzu, bo p. Tatarkiewicz lubi przedewszystkiem lekki, wesoly, zabawny rodzaj, w którym sam celuje, jako aktor a który *eo ipso* popiera, jako reżyser.

Przy takim wpływie ze sceny, publiczność odzwyczaiła się od tragedyi i dramatu, a kiedy na nią wołają: „Zmykajmy“ z poważniejszej sfery sztuki i podnioslejszych wrażeń! — cóż dziwnego, że potem z teatru prostą drogą daży do cyrku, w którym szuka również tańszego śmiechu i rozrywki, usposobiona przychylnie dla tego rodzaju widowisk.

Pan Salamoński spolszczył na afiszach swoje nazwisko i przestał się pisać „Salamonskim,“ ulegając prądowi czasu, który nas odwrócił trochę od niemieckich końcówek, niemieckich „badów,“ niemieckich firm i wszystkiego, co ma z niemi jakikolwiek związek.

W Dolinie Szwajcarskiej mamy tedy nowe źródło wrażeń od zeszłej soboty; konie do spółki z akrobatami, wieprzek pana Tanti z baletem rywalizują co wieczór o oklaski tej P. T. publiczności, która lubi hece i otacza je swojemi względami.

Niebawem rozpocznie się szereg przeróżnionych kursów w Warszawie, kończących tak zwany letni karnawał u nas; na nowym torze wyścigowym za mokotowską rogatką, zbliżonym teraz ku miastu, będą już wkrótce powiewać chorągiewki starterów, migać kolorowe kurtki dżokejów i chude nóżki wierzchowców, rozbrzmiewać oklaski sportsmatów z nowej trybuny i roić się zaczną totalizatorskie ule.

Po raz pierwszy Warszawa znajdzie też spo-

sobność podziwiać wyścigi cyklistów swoich, a niebawem doroczne regaty na Wiśle, uzupełnią program naszego sportu na lądzie i na wodzie.

Sztuka dramatyczna w inspektach, czyli teatryki ogródkowe od 1-go Czerwca dopiero rozpoczną swój żywot; dotychczas jeden tylko p. Trapszo Anastazy, złudzony pozorami uroczego Maju, spróbował szczęścia w imieniu Melpomeny, urządziwszy kilka przedstawień *quasi*-amatorskich na deskach ogrodowej szopki w „Promenadzie” za rogatką belwederską. Kilku uczni i uczennic, nazywających się „towarzystwem adeptów dramatycznych” do spółki z rodzinnymi talentami Trapszów, których nieba ubłogosławiły zdolnościami scenicznymi, jak rzadko w jednej i tejsamej familii, zamierza przez całe lato przez kilka wieczorów w tygodniu ćwiczyć się publicznie na tej zarogatkowej scenie; będzie to rodzaj akademii dramatycznej, w której młode talenta odbywać mają nowicyat swojego przyszłego zawodu.

Oby im tylko nieba sprzyjały, nie kropiąc zanadto kielkujących latorośli deszczem, bo sztuka pod parasolem (amfiteatr w Promenadzie, nie jest krytym), traci wiele uroku i siły przyciągającej.

Oprócz teatru *extra muros* przybył Warszawie w ostatnich dniach nowy punkt zborny publiczności żadnej miłych wrażeń, przyjemnego wycieczki, świeżego powietrza dla płuc, a smacznego posiłku dla żołądka; w uroczej Pomarańczarni obok Łazienek urządzono na wzór zagranicy cukiernię, w której przy odgłosie muzyki p. Sonenfelda, można będzie odtąd połykać chłodniki, smakować wiewską kawę i zakrapiać się winem lub piwem.

Mówię o rozmaitych projektowanych niespodziankach dla publiczności, o wokalnych popisach chórów ukrytych, o obrazach żywych, o oświetleniu elektrycznym, a to w celu większego odbytu trunków i napojów.

Praktyczny wiek XIX, estetykę włączył do przedsięwzięć interesów; mniejsza w tym wypadku o artystyczne przydatki, ale przybyła nam wygoda, której bardzo brakło w Łazienkach. Nie będziemy więcej spacerowali głodni i spragnieni po tym najpiękniejszym z parków polskich i szukali jak na pustyni manny w postaci zakurzonych pierników i ochłody przy studni zawsze obłożonej wieczorami, niby źródło Mojżesza.

Spacerowanie zamiejskie są dla warszawian ulubioną przyjemnością podczas dni pogodnych; cóż innego robić w lecie po całodziennym prażeniu się na rozpalonym bruku!... wszystkie parki i ogrody publiczne przepełnione bywają. Znaczna część ludności odbywać w nich musi jedyną swą willegiaturę; o wyjeździe za granicę, do wód, na wypoczynek letni mogą tylko marzyć najzamożniejsi. Innym wystarcza z konieczności widok zieleni i powiew świeżego powietrza od rogatek.

Z nastaniem wiosny wylazą jak szparagi z pod ziemi, rozmaite drobne projekta, odkładane zwykle na zimę; poraz trzeci czy czwarty słyszę odgłaszających się majówkowiczów, że urządzą świętą wycieczkę artystyczno-literacką, to znów jakiś bezimienny *impresario* organizuje wyprawę turystów do gór Świętokrzyskich i t. p.

Z tego wszystkiego jeden dr Fritsche dotrzymuje słowa; powiada sobie: „Wyszę w tym roku znowu paręset dzieci na kolonie letnie” — i wysła.

Mam przed sobą sprawozdanie szanownego lekarza-filantropa z urzędzenia zeszłorocznych osad dla biednych, słabowitych chłopców i dziewcząt; czytam je zwykle z wielkiem zajęciem, a odkładam z wzrastającym uznaniem dla d-ra Fritsche. Szósty rok liczy obecnie u nas utworzona instytucja, utrzymująca się energią swych opiekunów i ofiarnością publiczną. Trzeba było dużo zachodu, starań, poświęceń, aby ją tak spopularyzować, jak to w trudnych warunkach uczynił komitet z d-rem Fritschem na czele, — i takie uzyskał wyniki. W ciągu lat pięciu korzystało z kolonii letnich 721 malców słabowitych; rezultat z każdym rokiem pomyślnie wzrasta, dość powiedzieć, że prawie pięć razy więcej dzieci wysłano na wieś w roku zeszłym, niż w pierwszym zakładania osad wakacyjnych, a na pochwałę dzisiejszego komitetu dodać należy, iż rozsądną oszczęd-

nością i staraniami swymi zdołał utrzymanie przeciętne jednego dziecka przez cztery tygodnie na wsi zredukować do minimum w porównaniu z latami poprzednimi, kiedy bowiem w roku 1882 koszt ten wynosił rs. 24 kop. 71 na głowę, ostatnim razem summa ta zmalała do 14 rs. 78 kopiejek.

Sto dziesięć dziewcząt i stu trzydziestu sześciu chłopców w siedmiu miejscowościach bawiło w ciągu zeszłego lata.

Sprawozdanie z najwyższym uznaniem wspomina o niektórych obywatelskich ofiarach na rzecz kolonii letnich; Dr. Fritsche na czele wymienia p. Antoninę Mieszkowską, właścicielkę Kozłowa w powiecie Pułuskim, która nie tylko, że wybudowała znacznym kosztem obszerny dom w swojej majątności pod lasem w odległości pół wiorsty ode dworu i przeznaczyła go raz na zawsze na użytek małych osadników, ale zaopatrywała jeszcze tak obficie swych niedorośliwych gości warszawskich w warzywa, nabiał i inne wiejskie zapasy, iż koszt utrzymania jednego dziewczęcia u tej zacnej pani wynosiły za ledwie rub. sr. 7, 30 kop.

„Gdyby się znalazło więcej pań — powiada Dr. F.—pojmujących tak szczerze, jak p. Mieszkowska swoje obowiązki względem społeczeństwa i gdyby chciały one piękny ten postęp naśladować, to nie na setki, ale na tysiące liczylibyśmy dzieci wysłane w lecie na wieś. Rzecz nie jest wcale tak trudną do osiągnięcia, skoro taki mały kraj, jak Dania wysłała w ten sposób około 7,000 dzieci rocznie”.

Drugą dobrodziejką osad w roku zeszłym była p. Domaniewska w Sieradzkim, która zupełnie na własny koszt przyjęła do swego domu kolonijkę z sześciu dziewcząt złożoną i otaczała ją macierzyńską opieką i troskliwością.

Takich więcej!...

W tym roku Dr. Fritsche, już oblegany przez tłumy kandydaci i kandydatek białych i zmierzonych, ma sprawę trudniejszą i kłopotliwszą; o składki i ofiary trudniej, każdy kieszeń ścisła, każdy skąpi i oszczędza z konieczności, a jednak do dobrego celu trzeba pomódz człowiekowi, który, jako lekarz i higienista zna lepiej potrzebę i pożytek takiej instytucji, jako człowiek szlachetnego serca lituje się nad dolą swoich malutkich bliźnich, jako dobry obywatel radby społeczeństwu przygotować zdrowych i silnych pracowników przyszłości... Należy w dół uznać celu i myśli uczciwej, ułatwić znowu komitetowi zadanie tegoroczne i nie poskąpić ofiar, choćby najdrobniejszych na kolonie dla naszych dzieci, bo one są i naszymi, mając prawo do serca i opieki wszystkich starszych.

Chrystusowa miłość dla maluczkich jest cnotą i piękną i godną największego uznania; w niej bowiem przyszłość następnych pokoleń znajduje oparcie.

Ale byłoby to istotnie prawdą, że cnoty wszelkie stają się taką rzadkością, iż ich „ze świecą dzisiaj szukać należy”? Tak przynajmniej twierdził ś. p. Tadeusz Roszkowski, szlachetny oryginał, który w testamencie swoim zapisał 55,000 rs. na utworzenie u nas czegoś w rodzaju nagród Montyon'a dla ludzi cnotliwych. Fundator przy czynę smutnego objawu upatrywał w tem, że „ludzie dzisiejsi nie widzą dla siebie interesu w prowadzeniu życia moralnego, bogobojnego, a podstawy wiary nie znają i przyszłej nagrody cnoty w wieczności nie pożądamy.” Czy ich nagroda doczesna i to w gotówce bardziej zachęci do wiary, bogobojności i wykonywania innych cnót chrześcijańskich, nie chcę przesądzać; rozumiem, że cnotę nagradzać należy, ale nie wierzę w cnotę z interesu i we wpływ rubla na serce i sumienie. Dla hypokryzyi droga otwarta.

Ś. p. Tadeusz Roszkowski żąda, aby kapitał umieszczono na procencie póty, dopóki się nie podwoi, potem odsetki co lat trzy rozdawane być mają w nagrodach od 100 do 2,000 rs. za cnoty publiczne, domowe i miłości bliźniego.

Chciałbym dożyć tej uroczystości i być świadkiem pierwszego rozdawania nagród patentowanemu cnotliwcom w czasach, w których już ten uznawany bywa za dobrego, który źle robi.

Mam na zakończenie dwie sprawy pomnikowe

do zanotowania; jedna dotyczy uczczenia pamięci Kraszewskiego, druga Królikowskiego. Pierwszą poruszyły *Kłosa*, opierając się na składce i inicjatywie drukarni *Kuryera Warszawskiego*, w której pracownicy złożyli pierwsi pewną sumę, z przeznaczeniem jej na wmurowanie odpowiedniej tablicy w kościele Ś-go Krzyża. Nie mogło spocząć w tej świątyni serce zmarłego nestora naszej literatury, niech wdzięczna myśl skamienie tam na świadectwo, że Warszawa swemu synowi w swoim sercu wieczne miejsce zachowała.

Rozumie się, iż potrzebny fundusz nie przenoszący 1,000 rs. zbierze się, bo się zebrać powinien jak najrychlej i że tablica upamiętni rok śmierci Kraszewskiego w kościele świętokrzyskim.

Sprawa pomnika dla Jana Królikowskiego weszła również na drogę urzeczywistnienia projektu, który p. Józef Kotarbiński w swej pięknej mowie pogrzebowej nad grobem wielkiego tragika poruszył; obecnie wnioskodawca z p. Aleksandrem Rajchmanem, redaktorem *Echa teatralnego*, wznowili tę sprawę, oddając ją pod opiekę wpływowych osób, z grona licznych wielbicieli zmarłego artysty. Zaszczycenie znany rzeźbiarz p. Bolesław Syrewicz, ofiarował się szlachetnie wykonać za darmo pomnik, byle mu dostarczono materiału na posąg i piedestał według własnego szkicu, który już w ¼ naturalnej wielkości jest zaprojektowany.

Dotychczasowe składki wynoszą około 1,000 rs., cały koszt obliczono na 4,400 rs., pozostaje zatem do złożenia przeszło 3,000 rs.

Nieprawdaż, że złożymy je?...

Słyszałem, jakoby w Krakowie miano kosztem Towarzystwa Strzeleckiego postawić pomnik Kraszewskiemu, i że inny artysta polski, podobnie jak p. Syrewicz ofiarował swą pracę i talent w tym celu całkiem bezinteresownie.

Przyznajcie, iż niema chyba drugiego społeczeństwa, któremu artyści ułatwiali tak bardzo spełnianie zbiorowych obowiązków, przyjmując na swoje chude barki ciężary, które cały ogół dźwigać powinien.

Quis.

NA RUINACH.

POWIEŚĆ

przez

Zygmunta Sarneckiego.

(Dalszy ciąg).

Generalowa pocałowała synowca w czoło.

— Chciałabym z tobą szczerze pomówić... a nie śmiesz.

— Nie mów, mateczko... Ja z nim jutro sama pomówię... Dziś jesteśmy wszyscy zanadto... — zatrzymała się i dopiero po chwili dodała — zmęczeni spacerem. Idź spać, kuzynie... wypoczni... Śnij o szczęściu.

— Dobranoc.

— Do jutra!

— Do jutra! — powtórzył Antoni głosem zachrypłym, który ledwie wydobywał się z zacienionego gardła. W uszach mu szumiało, w głowie panował zamęt okropny... O mało się nie zataczał, jak pijany.

Pani Eleonora, uściskawszy córkę, pobiegła modlić się do swego pokoju.

Klarcia jedna — panująca nad sobą, ale wzruszona także — długo... długo myślała, zanim usnęła.

Jak w jesieni... dzień następny był ponury.

Zasepione niebo groziło już rozpoczęciem się pory słotnej. Na szczęście dla gospodarzy, którzy nie ukończyli jeszcze zbiorów jarzyny i kopania buraków, chłodny wiatr wschodni nie dozwalał chmurom ciemnym rozpląkać się ulewnym deszczem. Pomimo to o spacerze lub wycieczce odleglejszej nie można było marzyć; Klarcia je-

dnak, pragnęła wyjść koniecznie na świeże powietrze. Ubrała się w futerko, zgrabnie opinające jej kibić kształtną, szyję owiązała fularem... i rzekła do Antoniego:

— Chodź ze mną na wały... Mamy z sobą tyle do pomówienia.

— Pójdę z wami także — szepnęła cicho hrabina, spojrzeniem prosząc córkę o pozwolenie towarzyszenia sobie.

— O! nie, mateczko... Musimy być sami godzinę... godzinę tylko.

— A przyrzekasz, że nie dokuczysz biedakowi?

— Przyrzekam. Czyż nie jestem, jak sama utrzymywałaś dawniej, najrozsądniejszą istotą na świecie?... Zresztą, zaczniemy pielgrzymkę od studni... Ugaszę pragnienie i ochłodzę wszelki gorączkowy zapal... Zabieram z sobą szklanke.

Tu pokazała ukrytą w kieszonce od futerka okrycia, małą, płaską, kryształową szklaneczkę.

— Antoś mi wody wyciągnie... — mówiła dalej z widocznym wzruszeniem, które jednak poskromić umiała... a potem ruszymy na wały.

Zeszli we dwoje ze schodów, nie mówiąc do siebie wcale. Zpod pięknego porfirowego portonu, udali się w róg podwórca, pod arkady, ku izbie ze studnią.

Młodzieniec chwycił za koło i zaczął je obracać.

Łańcuch szczyknął... Wiadro, kołyszące się, znikło w ciemnej otchłau. Po chwili uderzyło z łoskotem głuchym o powierzchnię wody. Następnie napełnione, ciężkie, ciągłym drganiem rozbrzgujące wodę wokół, odwrotnym ruchem koła ciągnięte żwawo — wysunęło się nad ocebrowanie.

Antoni pochwyił je wtedy silną ręką, przytrzymał, ku sobie przybliżył i wystawił na deskę, tworzącą rodzaj ławki z czterech stron otworu.

Klara podziękowała mu skinieniem główki. Zanurzyła w wiadrze szklaneczkę... Poczem poniosła ją do ust i piła chciwie.

— Przedziwna! — rzekła odetchnawszy głęboko. — Czy chcesz się napić? — spytała. — Dowiesz się o czem myślę.

— Wszakże i tak, powiesz mi, co myślisz.

— Więc... nie?

— Owszem .. proszę.

Wypił podaną mu wodę duszkiem. Jaskrawszy, niż zwykle rumieniec na twarzy i wargi spalone świadczyły, że ma gorączkę.

— Teraz — powiedziała Klara — jesteśmy należycie przygotowani do naszej pożegnalnej rozmowy. Chodźmy.

Wiatr uspokoił się nieco.

Łąki, miasteczko, wzgórze oddalone, sioła na stokach ich rozsypane, słowem: cały rozległy krajobraz nie jaśniał wprawdzie pod chmurnym sklepieniem tą wyrazistością zarysów i kolorytu, jaką poprzednio w ciągu ubiegłego tygodnia — nadawało mu słońce, był jednak zawsze bardzo ładny i interesujący; mglisty, szary, smutny... ale pełen czaru i uroku.

— Jak tu pięknie, chociaż inaczej, niż wczoraj — szepnęła Klara.

— O! nie dla widoku cię tu przywiodłam... Słuchaj! wyznałam ci wczoraj moją miłość z dzieciinną szczerością, a ty dotąd milczysz... dotąd mi nie odpowiadasz...

— Co ja ci odpowiem! — jęknął młody człowiek, opierając się o wieżę, ostrym i wyniosłym dachem wdzierającą się między dżdżyste obłoki, które wlokły się ociężałe i leniwie nad jej szczytem.

— Kochasz mnie, czy nie?

— Wiesz dobrze, że kocham... Tak, kocham, niestety!

— Dla czegoż tak smutnie wymawiasz wyraz milej słuch pieszczący od najcudniejszej muzyki?! Słuchaj!

Nerwowym i zarazem wstydlwym ruchem ręki zieloną woalkę, owijającą rondo kapelusika, zsunęła nagle na oczy, i rzekła po cichu:

— Pobierzmy się, mój drogi... Wiem, że to rzecz niełatwa, bo twój ojciec nie zechce mnie za synową...

— Przekonałbym, ubłagałbym go... gdybym sam wierzył.

— W co?

— Ze mnie kochasz istotnie... żeśmy dla siebie stworzeni.

— Nie wierzysz?

Antoś milczał.

— Prawo kontrastu zbliża i łączy nas z sobą.

— Dziecko!... Teorya fałszywa, jak większa część twoich przekonań; może mieć rację bytu w sztuce i literaturze, ale nie w życiu... zwłaszcza, w takim, jakie mnie czeka. Pomyśl tylko... dwoje ludzi, którzy podają sobie ręce i wiążą się przysięgą... na to... aby zaraz po ślubie ruszyć każde w inną stronę...

— Cele nasze nie są tak różne, jak ci się wydaje. Sprzecznie pojmujemy środki, lecz...

— Nie mów tego, Klara, bo zwątpię nawet o twojej szczerości. Ty rozumiesz: jaka przepaść nas dzieli.

— Przepaść nienawiści rodzinnej.

— Nie... otchłau pojęć i wyobrażeń.

— Czyż oboje nie jesteśmy przejęci ideami nowoczesnymi?

— Tak, ale ty należysz do rzędu tych, co przeczą tylko, ja zaś przeczenie zaliczam do przeszłości.

— To wykret dyalektyczny. Jestem tem, czem uczynił mnie najbujniejszy rozkwit cywilizacji, czem i ty jesteś w gruncie rzeczy, chociaż obstajesz przy pewnych przesądach, optymistą.

— Pleśń i grzyby cywilizacji bierzesz za jej kwiaty.

Rękę przesunął po czole, oczy wznosił w górę i uniesiony mimowiedną exaltacją, mówił szybko. Wyraz gonił za wyrazem, często nieodpowiadając całej myśli, jak błyskawica jaśniejąca chwilę nad horyzontem i wnet potem w mrok zapadająca.

— Na gruzach, które ty jeszcze czcisz pessimistko, powstaje już nowa cywilizacja, pełna zapалу, czysta, miłosierna, Chrystusowa, nie z waszym chłodem i zwątpieniem niemająca wspólnego, odpychająca wszelkie zdziwienie zwierzęce „ducha z pod męki ciała“ wyzwalająca. Jak za Chrystusa objął ma naprzód maluczkich, słabych i nieszczęśliwych. Ale do ciebie podobni, pragną zgniliznę kosmopolityzmu i zbrodni zaszczerpić na jej pniu młodym... O gdybyś chciała mnie zrozumieć... Mówię półsłówkami, bo wiem jak umysł twój łatwo odgaduje i zgłębia...

— Mów... mów dalej fanatyku.

— Odbiegłem od przekonań, w jakich mnie wychowywano, bo czułem... co zapowiedział poeta... nadiągającą burzę gromami ciężarną.

— O zanim się rozszałeje, już nas na świecie nie będzie!

— Nie obawa powiodła mnie na nową drogę, ale wielka miłość... ta sama, która ożywiała naszych przodków. Ty w mojem sercu jesteś częścią tej miłości... Pokochałem cię, aby duszę twą zpod męki ciała wyswobodzić... Potem przyłączyła się namiętność, ściskająca serce, niby cęgami w ogniu rozżarzonemi... Ona, jak ty, źle doradza; jak ty, wiedzie na pokuszenie... ale się jej oprę... na Boga żywego, oprzeć się jej zdołam!

— Ulegnij... ja ulegam.

— Wspólniczkę pracy mojej w tobie widziałem. Lecz nie pozwoliłaś mi ludzi się długo zbawienia ty nie chcesz, egoistko... Co ciebie obchodzi to, czemu ja życie poświęcę, rozszerzając pracę mozolną i cichą oświatę i postęp prawdziwy, budując gmach przyszłości od fundamentów!

— Ależ, szaleńcze! prócz wielu przeszkód, czy nie widzisz najważniejszej, niezwalczonej: śmierci... która cię spotka w pół drogi. Czy zgonu nie bierzesz w rachubę?

— Kto inny skończy rozpoczętą robotę... Przez ciebie strach przemawia.

— Twoje marzenia idealne odpowiadają to samo, co moja rzeczywistość. Ty się rozpląniesz w narodzie czy w ludzkości, ja mam się rozproszyc w przyrodzie. Dziękuję!... Mnie tylko indywidualność moja zajmuje. Pragnę żyć, bo prawdą jest tylko życie.

— Żyć dla siebie?

— I dla ciebie... bo cię kocham...

Antoni pochwyił jej obie drobne rączki i ścisnął w swoich dłoniach gwałtownie.

— O! nie mów tak, bo oszaleję! Kocham cię całą pełnią pierwszej i prawdopodobnie ostatniej

miłości. Utracić cię... znaczy dla mnie tyle, co utracić jasność słoneczną nazawsze.

— A dlaczego mnie odpychasz?

— Zanim poznałem cię i pokochałem, przysięgłem w duchu wierność moim zasadom i obowiązkom... a małżeństwo z tobą, dopóki pozostajesz taką, jaką jesteś, byłoby zdradą, odstępstwem...

— Pozostanę zawsze taką! — zawołała Klara z dumą, tupiąc nóżką o zieloną darninę wału.

— Nie chcesz zatem, abym żył przynajmniej nadzieją?

— Nadzieją! — rozśmiała się gorzko i ironicznie. — Słuchaj! teraz ja ci powiem, że mnie nie kochasz... a raczej... nie kochamy się wzajemnie. Ty swoich... ja moich przekonań poświęcić nie umiemy. Co do mnie, nie dziwnego... nie znam, nie znalazłam i nie pragnę znać poświęcenia... ale ty... ale ty...

Potok szyderstw z ust jej popłynął.

On smutnie zwiesił głowę na piersi, nie słysząc może nawet słów, które upajała się gniewna Klara, oburzona stanowczym oporem. Młodzieniec exaltacja Antoniego — dlatego może tak silna, marzycielska i obejmująca nieskończenie szerokie i jeszcze zbyt dalekie widnokręgi, że zrodzona w sercu i mózgu, które w spadku wzięły cały ogrom dziedzicznych przymiotów i bujnych uniesień starego rodu — walczyła w jego łonie z natarciem zmysłów i uczucia. Rozumiał, że traci ukochaną, a honor nie pozwalał mu osiąść jej kosztierem godności osobistej. Czuł łamanie się serca cierpiał niewymownie, a nie chciał cierpienia swego wyjawic. Bolesć jednak wypiętnowała mu się na twarzy tak dziwnym wyrazem, że aż Klara się przestraszyła. Przestała sztydzić i biorąc go za rękę, krzyknęła:

— Co tobie, Antosiu?

— Nic... nic — wyjąkał.

— Dokuczylam ci... udręczyłam... przebac. Ale ja... ja także... jestem bardzo nieszczęśliwa!

Pierwszy raz w życiu także wyrazi wymówiła głośno. Przeleżała się sama ich brzmienia... Nadśłuchiwała, czy złowieszce jakie nie powtórzy ich echo.

— Wróćmy do zamku... mrok zapada i wicher znów się zrywa... Możesz się przeziębic — mówił Antoni, jakby z przykrego snu zbudzony, ale już władający sobą.

— Chodźmy — odparła Klara.

Pojęcia „dzieci“ — chociaż dzisiejsze, chociaż pochwycone z otaczającej je nowoczesnej atmosfery, lecz wzrosłe na ruinach, w starym gruncie zerpiące potężną siłę uporu, oraz moc przekształcania się w zewnętrzny kierunek dwóch różnych, jakkolwiek pokrewnych tradycji — starły się z sobą tak gwałtownie, że oboje dalej mówić nie mogli.

Z ranami w sercach — wzajem sobie zadanych — milcząc zstępowali z wałów, nie patrząc nawet na siebie. Byli wzruszeni, rozdrażnieni, zmęczeni walką.

Koło kopca z altaną, przykrywającego ziemią i darniną gruzy baszty, zwanej „Zośką“, Klara — blada, poważna, drżąca — przytuliła się nagle do kuzyna mimowolnym ruchem.

— Czy słyszysz? — spytała.

— Co?

— Jęk jakiś podziemny!

Młody człowiek stanął i słuch wytężył.

— W murach za wałami sówka się odzywa... to piskliwy głos nocnego ptaka.

— Złudzenie!... tylko złudzenie! — szepnęła. i dodała później: — Przez ciebie gotowam zostać przesadną. Ja, co pomimo moich nerwów, nigdy nie bałam się rzeczy nadprzyrodzonych, o których... jak mówi Hamlet... nie śniło się filozofom naszym, dziś marzyć się zaczynam... To pochlebiamy myśli, że natura współczuje z nami... Szalona! szalona!

Rączką zrobiła gest, jakby wypędzała widma z czoła.

Szła dalej zadumana...

W podwórce naprzeciw studni, zatrzymała się i zatrzymała stryjeczynę brata.

— Przed godziną miałam jeszcze nadzieję — rzekła — a teraz...

Patrzyła badawczo w jego oczy.

— Więc nie?

— Co?—spytał Antos nieprzytomny; chwilami bowiem istotnie tracił zmysły, pogrążony w głębokim smutku.

— Stanowczo odrzucasz moją rękę?

— Dlaczego ze mnie sztydźsz?

— Nie sztydź... Sama cierpię.

— Jednym słowem zmienić możesz moje postanowienie... wyrwać mnie rozpacz... i skrócić własne cierpienia... jeśli wolno wierzyć, że cierpisz.

— Słowa tego nie wymówię... bo-bym skłamała. Czy zapominasz, żeśmy potomkowie jednego rodu, że jestem równie jak ty dumna i zacięta.

Szli dalej, nie mówiąc, ku portonowi porfirowemu.

Na pierwszych stopniach schodów Klara zatrzymała kuzyna znowu.

— Ale pozostaniemy na zawsze dobrymi przyjaciółmi.

Wyciągnęła rączkę drżącą.

— Nie, Klaro... nie! Oszukiwać się nie myślę... W sercu gdzie była miłość, przyjaźń gościć nie może.

— Więc mnie znienawidzisz?

— Nie wiem... jeszcze nie wiem.

Wstępowali powoli po stopniach, coraz wyżej i wyżej.

Przed drzwiami salonu na pierwszym piętrze Klarcia pochwyciła rękę Antoniego.

— Lecz przed mamą nie mówmy o niczem... Pozostawmy jej nadzieję.

— Czy zdołam?...

— Proszę cię... ona żyje tą myślą... proszę cię... tyś taki dobry!

— Starać się będę... ale nie ręczę... udawać nie umiem...

— Ale umiesz nad sobą panować... przekonałam się o tem nieraz.

— Chcesz koniecznie?

— Proszę.

— Dobrze.

Poczuciem obowiązku — nagle mu narzuconego i przyjętego — otrzeźwił się z moralnego letargu. Podniósł pochyloną głowę, ręką przetarł ciężące nad oczami powieki, podał ramię kuzynce i prawie pogodny wszedł do komnaty oświetlonej, gdzie hrabina z niecierpliwością oczekiwała na "dzieci."

Wieczór upłynął spokojnie na ożywionej, lecz poważnej rozmowie, w której oboje unikali wszelkich drażliwych sporów. Pani Eleonora nie śmiała o nic zapytać, choć kilkakrotnie miała już zapytanie na ustach. Widząc ich tak pozorne swobodnych i dla siebie uprzejmych, odzyskała otuchę.

Antos zapowiedział, że jutro rano wyjeżdża, bo niepokoi się o ojca... Postano więc po poczciwego Zaremby. Umówiono się, że stary oficyalista obudzi raniutenko panicza, aby równo z braskiem dnia wyjechał.

— Bo nie trzeba, aby Stanisław miał żal do mnie, za to, że zbyt długo cię zatrzymałam — mówiła generałowa, słodko się uśmiechając do synowca.

— Ojciec przez wzgląd na stryjenkę, łatwo mi przebaczy.

Widocznie znużony wysileniem dodał:

— Czas pożegnać się i podziękować za gościnność.

Hrabina objęła go za szyję i pocałowała w głowę.

— Do widzenia... Wszak prawda, Antosiu?... że do widzenia.

On przyciskając jej rękę do warg rozpalonych, prawie głośno i prawie stanowczo powtórzył:

— Do widzenia.

Generałowa odwróciła się do służby, aby wydać ostatnie rozporządzenia co do wyjazdu hrabiego Antoniego, może także, aby ukryć tży po twarzy spływające, a może wreszcie, aby ułatwić "dzieciom" pożegnanie.

Wtedy Klara zbliżyła się do stryjecznego brata i wyciągnęła doń rączkę.

Młody człowiek zatrzymał ją kilka sekund w swojej gorącej dłoni, ale do ust nie poniósł, patrzył tylko w oczy dziewczęciu, jakby chciał w nich wyrok swój wyczytać. Wzrok Klarczy błyszczał wdzięcznością... nie było w nim jednak

ani ustępstw ani obietnic, których Antoni pragnął, a może się spodziewał.

— Żegnam cię... nazawsze — wyjąkał, tłumiąc westchnienie.

— Żegnam... i dziękuję, żeś spełnił ostatnią moją prośbę...

Chciała coś jeszcze powiedzieć, ale obejrzała się na matkę, która właśnie w tej chwili — wydawszy polecenia — zwracała się ku nim. Więc tylko wskazujący paluszek położyła na rozwartych ustach i szepnęła:

— Cicho!

Pani Eleonora gestu tego nie zauważyła i szepniętego wyrazu nie dosłyszała.

Przed świtem Antoni gotów był do drogi. Nie spał noc całą. Czuł się zmordowanym wskutek wysiłku woli... ale mężnym i silnym na duchu. Mocował się z namiętnością — jak gladiator w cyrku rzymskim walczący z przeciwnikiem — i wyszedł z walki zwyciężcą, chociaż tryumf ten drogo go kosztował.

Lokaj usługujący do podawanej prawie na wsiadaniu herbaty doręczył mu bilecik, na którym wyczytał: „O przyjaźń i pamięć prosi Klara“

Wtem wszedł Zaremba, donosząc, że konie zaprzężone do powozu czekają w podwórzu.

Gracyalista odprowadził panicza do granicy Dóbr Bereźnickich, a kiedy, całując syna swego ukochanego rotmistrza, pytał:

— Czy pan hrabia nie ma mi co do polecenia?

Antos wydarł białą kartkę z notatnika, szybko nakreślił ołówkiem: „Nie zapomnę nigdy. Antoni.“ i podał staremu, mówiąc:

— Proszę to oddać kuzynce Klarze.

— O! natychmiast... ledwie do zamku powrócę... — Potem mruknął rozzeźwiony: — Bóg by dał... Bóg by dał! — i znak krzyża świętego naznaczył w powietrzu nad głową młodzieńca.

Ten raz jeszcze uściśnął dłoń ex-ulana, wskoczył do powozu z którego wysiadł na chwilę... a konie, pomykając żywo, uniosły go z przed oczu starca, żegnającego dziecko swego dowódcy błogosławieństwem i łzami.

Klarcia, odebrawszy kartkę z rąk Zaremby, zastanowiła się nad jej znaczeniem głęboko.

— Nie zapomni nigdy... więc uczyni zadość mojej prośbie! — zawołała z radością. Ale wnet inna myśl przez mózg jej przebiegła. — Nie... tak być nie może... raczej... raczej... „nie zapomnę nigdy krzywdy, jaką mi wyrządziłaś, stając się panią mojego serca...“ Tak... tak być musi, tak myślał niezawodnie... Ach jakżiś on mściwy! jaki niedobry!

Ukryła twarz w dłonie i zapłakała rzewnie.

Nerwy i uczucie — które zbudziło na dnie duszy drzemające dobre instynkta — wzięły górę nad dumą i egoizmem. Stan ten jednak trwał krótko. W moment potem rozdrażniona, gniewna, otarła oczy i podniosła hardo czoło pochylone.

— A czyż i ja nie mam zemsty gotowej?!... a moje pióro autorskie!

Przypomniała sobie układany przed przybyciem Antoniego zarys do nowej powieści. Nadał się on doskonale do namiętnej polemiki z bratem stryjecznym.

— O! zobaczy, że nie składam broni i poddać się nie myślę!

Z gorączkową energią zabrała się do pisania.

Ciemne barwy, w jakich skąpała pierwszy swój utwór — wobec kolorytu świeżo rozpoczętego dzieła — mogły się wydać nader blademi. Wszystkie skarady, o których czytała i słyszała, jakimi rozmowy generała napęliły jej wyobraźnię, nagromadziła tu z upodobaniem i lubością. Pojęcia Antosia obrzuciła błotem i zatrutemi pociskami. Wyśmiała je, wyszydziła. A jednak... nowe rękopismo, nie nosiło na sobie cech tak doniosłej i droższej ujemności, jak poprzednie. Znać w nim było bowiem — pomimo woli autorki — ból, smutek... i miłość. To czarne piekło... mogło być czyściem tylko, przez szczeliny i pęknięcia szatańskiego gmachu, sączyło się weń niebieskie światło ideału; serce — którego-by się nikt nie zdołał domyśleć w pierwszej powieści — tu biło silnem tętnem. Lud — ten cel przyszłych prac kuzyna — lud, który chciała odmalować z realistyczną wiernością w duchu poglądów ojca — pewna, że zna chłopca doskonale, że go studyo-

wała jak anatom i rozumie jak filozof — wyszedł wprawdzie zpod jej pióra żeźwierzęcony, ohydny, niekiedy straszny jak wilk zgłodniały, niekiedy głupi jak baran, ale przytem bardzo nie-szczęśliwy, tak, że nietylko potępiać, ile litować się nad nim należało. Słowem, cała kompozycja ponura — chociaż dzika i barbarzyńska, jak jej tendencye samolubne — mogła w umysłach głębszych i poważniejszych obudzić mniejszy wstręt do poprzedniej. Tamtę, tworzyła wprawdzie jako „sztukę dla sztuki“ ale podeptała w niej wszelkie zdrowe wyobrażenia o warunkach etyki i estetyki, jakiej od artystycznej kreacji — przystępnej dla ogółu — domagać się należy. Tu, w imię swej bezdusznej nowoczesności, wypowiadała wojnę szlachetnemu postępowi, ale broń przetrzymała użyta, kruszyły się mimowiednie w jej rękę; niewzruszone zaś zasady prawdy i piękna unosiły się nad brudnym chaosem, jak niebo... ku któremu, na wypoczynek, zwracały się oczy duszy myślącego czytelnika.

(Dokończenie nastąpi).

NOWINY PARYŻKIE.

Paryż 30 Kwietnia 1887 r.

Koniec postu i święta wielkanocne. — Zwrot do religijności. — Uczęszczanie do kościołów — Fokusy dla smakoszków. — Jarmark wędlin i jarmark pierników. — Zajęcie w Pagny i rozwiązanie pokojowe kresowej kwestii. — Teatr „Eden“ i *Lohengrin*. — Skutek zajęcia w Pagny. — Pobyt królowej angielskiej w południowej Francji i jej odwiedźiny w klasztorze „de la Grande Chartreuse“. — *Sześćdziesiąt lat wspomnień*. — Pamiętnik E. Legouvé. — Zola jako reformator teatralny. — Nowa sztuka jego: René. — Niepowodzenie reformacji. — Przyczyny. — *Le Mariage du Roi*, nowa książka p. de Raynala. — Ciekawe szczegóły, dotyczące się Stanisława Leszczyńskiego i jego córki Marii.

(Dokończenie).

Chciałbym tu powiedzieć jeszcze słówka kilka o teatrze i literaturze. Mam właśnie przed sobą ciekawą i interesującą książkę: *Sześćdziesiąt lat wspomnień* Ernesta Legouvé. Zasłużony literat, dramaturg, powieściopisarz wielkiego talentu, który dziś zaczął ósmy krzyżyk, a trzyma pióro z tak młodzieńczą prawie energią i żywością, przypominającą naszego nieodżałowanego wygnańca z San-Remo, daje nam właśnie to, czego najwięcej pragniemy w tego rodzaju dziełach: zapomnienie o sobie, a szeroką pamięć o tych, z którymi się żyło. Ale, niestety, pomimo najlepszej chęci, muszę rzecz o tem odłożyć na później, bo nie skończył jeszcze tych dwóch tomów Legouvé'go, a są rzeczy, które mnie do pospiechu naglą.

Pierwszą z tych rzeczy jest nowe wystąpienie p. Zoli w teatrze. Słynny autor *Obucha*, dawnym swoim zwyczajem, poprzedził i teraz swoje wystąpienie, pewnem wyznaniem wiary i wyzwaniem do bitwy, tych nawet, którzy ani marzyli o wojnie. Dowcipny Millaud, słusznie gdzieś powiedział: „Ten Zola, to prawdziwy Bismarck literatury!“ Bo w tej rubasznej i brutalnej taktyce Pustelnika z Medanu, jest pełno chytrych i lisich przebiegów. Łatwo tam się dopatrzeć, uważając pilnie, pewnej systematycznej dążności do zaprzątnięcia publiczności jedynie i wyłącznie swoją osobistością. Waląc bez miłosierdzia swem piórem, jak młotem do drzwi opinii publicznej, budzi on ją z uspienia i każe się pytać: kto woła? Wyzywa krytyków, wpada na publiczność nawet, i pod pozorem literackiej rozprawy wysuwa naprzód własną reklamę i gardłuje, co wiezie, *pro domo sua*.

Musieliście czytać, bo wszystkie tutejsze dzienniki wystąpiły w szranki, musieliście więc czytać, całą tę polemikę stoczoną z powodu przedstawienia w Teatrze Vaudeville'u sztuki p. Zoli pod tytułem: *Rénée*. Jest to przeróbka, tą razą osobista i bez Busnacha, z jego powieści, pod tytułem: *Brzuch Paryża*. (*Le ventre de Paris*). O samej sztuce nie będę mówić, naprzód, bo rzecz jest znana z dawniejszej powieści, a następnie,

według zwyczaju autora, sprawa jest tak brudna i sprośna, że co do mnie, wobec czytelników *Bluszczu* nie śmiem tu rozbiierać po szczegółowo tego, czemu się opiera przyzwoitość i wstyd ludzki. Jest to stary zużyty temat, występnej żony, ale odegrzany i przysmażony na starej medańskiej słoninie.

Pod pokrywką studyów z natury i dokumentalnych opowiadań, p. Zola, a z nim cała prawie tak liczna falanga dzisiejszych francuzkich powieściopisarzów przesyca literaturę nadobną, takim brudem i kalem, że z nadobnej stała się za prawdę, brzydką i niemożliwą wcale. Ale, nie ja jeden tak patrzę i sędzę. Są i tu rodzinne głosy, które oddawna już nawołują tych panów, aby znali *mores!* Oto, co w tym względzie powiada jeden z pisarzy, Hektor Malot, którego nie można przecież policzyć do rzędu zapleśniałych reaków:

„Ci, co zdaleka od Paryża, pozagranicami Francji czytają nasze powieści, ozdobione tem godłem: „Obyczaje Paryżkie“, muszą być przekonani, że Paryż jest to najbardziej rozpuśtne miasto na świecie! i powiadają: Co za rozwiążli ludzie, z tych Paryżan!

„I jakże może być inaczej?

„Równie, jak w laboratorium miejskiem, poszukują jedynie tego, co jest fałszowane i fabrykowane, tak i powieściopisarze nasi, ci, co się zajmują Obyczajami Paryża specjalnie studyują jedynie to, co jest złe i zepsute, bo dobre, zdaje się, że w nikim nie budzi zajęcia i nie zasługuje na wspomnienie. Złym i zepsutym poświęca się wszystkie swe względy i cierpliwość analizy w tym względzie posuwają do ostateczności.”

„Kiedy my, Paryżanie, czytamy takie powieści, co nas najbardziej zajmuje, bo talent pisarza, z jakim on się wywiązuje ze swego zadania—i mówimy wówczas: dzielnie wystudowane, dobrze oddane! Rzecz główna dla nas, to siła w oddaniu i w przedstawieniu przedmiotu w największym blasku!”

„Ale na obczyźnie, za granicą, co ich uderza, zajmuje, to idea książki, jej grunt, jej dusza, że tak powiem, bo forma jest im niedostępną prawie straconą. A kiedy się znajdzie autor z prawdziwym talentem tworzenia, zmusza najczęściej czytelnika do ślepej wiary i kończy się na tem, że czytelnik z politowaniem i wstrętem patrzy na tych Paryżan, jakich im pokazują, taki Zola i Spółka.”

I to jest istotna prawda. Z każdym dniem przekonujemy się, że powieść francuzka staje się coraz i coraz bardziej niemożliwą, z powodu tych brudnych mętów, w jakich autorowie czerpią swe natchnienie, jeśli to można nazwać natchnieniem, i jakimi usiłują karmić czytelników swoich. Ludzie poważni i dojrzały, a rozumni mężczyźni i kobiety, nie czytają tych powieści, chyba przypadkiem. Jest to więc pokarm dla młodych płci obojga. Jakież nauki mogą wynieść z tego czytania? Strach pomyśleć!

Oto dlaczego o nowej sztuce p. Zoli zamilczęć wolę. Jest to stara historia występnej żony, pogorszona współdziałaniem Hipolita, który się tu nazywa Maxym—nazwiska nie mają znaczenia w teatrze, gdzie wszystko być musi zmysleniem. Chciałem tylko z powodu tej sztuki, uprzedzić czytelników moich, aby czytając tak zwaną polemikę, jaka się wywiązała w dziennikach paryżkich, nie przykładali najmniejszej wiary do tego, że to jest kłótnia i zajście naprawdę, pomiędzy autorem i krytyką literacką. Jest to po prostu reklama, przedzierzgnięta w strój literackiej polemiki.

P. Zola, który występował zawsze i występuje otąd w roli jakiegoś niby Reformatora Teatru, nie przyniósł dotąd i nie wymyślił nic nowego. Przepraszam: nowości jego zależą na tem, aby przed oczyma publiczności postawić obrazy, najohydniejszej rozpusty i podkreślić je wyrażeniami, od których uszy wędzną, jak to tyle razy uczynił w swoich powieściach.

Spokojny, samotny czytelnik zniesie to wszystko, jeśli nie rzuci w piec, głupiej i bezecnej książki; ale widz w teatrze, jakkolwiek sam zepsutym być może i przyzwyczajonym do pieprznych wyrażań, nie zniesie tego wobec sąsiadów i sąsia-

dek swoich i publiczność wzięta w swej massie nie pozwoli nigdy, aby ze sceny rzucano jej w twarz sprośne wyrażenia, lub kazano jej patrzeć na sceny wręcz nieobyczajne.

Oto dlaczego w Vaudeville'u, wygwizdano sztukę p. Zoli, i niedopuszczono na pierwszym przedstawieniu ogłoszenia nazwiska autora. Ale to nie zaszkodzi wcale sztuce: przeciwnie, dzięki podniesionej wrzawie, dzięki grze doskonałych aktorów, zmieniająca się tu codziennie publiczność napłynie do teatru, aby się przekonać, co też się tam dzieje?

Cała ta zawierucha nadaje dyrektowi Vaudeville'u pewną cechę bohaterskiej odwagi, że przyjął sztukę, odrzuconą przez inne teatry. Ale zdobył się on właśnie na tę odwagę, bo liczył na wrzawę, na reklamę Zoli i na znaną ciekawość Paryżan. Tym ludziom nie chodzi wcale o to, czy sztuka Zoli dobra, czy nie dobra, każdy z nich dba tyle o to, ile pies o piątą nogę: chodzi im o to, aby się przekonać *de visu*, jak się odbywa tu codzienna walka—pomiędzy najętą klaką, a sykającą publicznością.

Ale przejdźmy do rzeczy, które są nam bliższe i prawie jakby rodzinne. Oto mam przed sobą książkę, świeżo wyszłą z druku: *Le Mariage d'un Roi*, przez Pawła de Raynal. Uprzejmy autor, sam mi ją przysłał—i miał wielką racją, bo sprawił mi wielką przyjemność, którą się dzielię z wami natychmiast. Ten Maryaż, jest to ożenienie się Ludwika XV z Maryą Leszczyńską—autor pisze „Leczinska“.

Książka przychodzi w porę, teraz właśnie, kiedy publiczność Polska ma w rękę, „Męczennicę na Tronie“, jedno z ostatnich dzieł Kraszewskiego. Z żalem wyznaję, że tej powieści jeszcze nie czytałem; chociaż byłem pomocnikiem drogiego mistrza „pomocnikiem“ zrozumiemy się nie dopisania, ale do zebrania i dostarczenia materiału. Książki nowe polskie, choć tak pożądane, dochodzą nas późno, niestety! Wiem o *Męczennicy* to tylko, co mi powiedział artykuł *Bluszczu*: *Charaktery kobiet u Kraszewskiego*, ale jestem z góry pewien, że wykonane to zostało z całą sumiennością i artyzmem.

Myślę, że w powieści Kraszewskiego więcej chodziło, o przeszło czterdziesto-letnie pożycie królowej francuzkiej z Ludwikiem XV, niżeli o kwestyą zamąż-pójścia. Otóż książka p. de Raynala zajmuje się wyłącznie ożenieniem się króla i wyjaśnia dość zawiłą kwestyą: jakim sposobem przyszło do tego, że Ludwik XV ożenił się z córką króla pozbawionego tronu i państwa króla, który był—emigrantem na ziemi francuzkiej?..

Ciekawe bardzo są szczegóły tych intryg i zabiegów, jakie towarzyszyły owemu postanowieniu. Czerpane są one ze źródeł poważnych, chociaż już znanych poprzednio. Streszczone porządnie, przedstawione jasno i zrozumiale, mają swoją wartość. Ale, co dla nas, nadaje tej książce p. de Raynala prawdziwy wdzięk i nieocenioną zasługę, są to liczne wyciągi z własnoręcznych listów, króla Stanisława i królowej Maryi córki jego, znalezione i wydane po raz pierwszy.

Listy te odszukane w bibliotece, tak zwanej de l'arsenal w Paryżu, w manuskrypcie noszącym tytuł: „Papiers de du Bourg“, stanowią korespondencję Stanisława Leszczyńskiego i jego córki, w ciągu lat długich (1717—1739), z marszałkiem hrabią du Bourg—naprzód komendantem wojska i fortecy w Strasbourgu, a następnie dzięki królowej Maryi, gubernatorem Alzacji. Był to wierny przyjaciel rodziny królewskiej, od chwili jej przybycia do Francji, aż do śmierci.

Dobrze, choć może trochę pobieżnie, przedstawione są intrygi pierwszego ministra rady opiekuńczej, księcia z Kondeuszów de Bourbon i innych dworaków, otaczających młodziutkiego Ludwika XV. Zabiegi około jego ożenku, poszukiwania narzeczonej w Hiszpanii, Anglii, a nawet w Rosyi, nie przeszkadzają księciu de Bourbon, na własną też rękę czynić starań matrymonialnych, był on bowiem wówczas bezzennym. Widzimy, że mało co przed postanowieniem o losie Maryi Leszczyńskiej, jako królowej francuzkiej, ks. de Bourbon czynił starania o jej rękę na własną korzyść.

Stanisław, który w owym czasie, (1725) osiadł w Wissembourgu, był w dosyć trudnych okolicznościach pieniężnych, tak, że zmuszony został zastawić we Franfurcie klejnoty i srebro, musiał być przyjemnie i głęboko wzruszonym kiedy mu, zamiast dość miłej propozycji ks. de Bourbon, przyszło żądanie o rękę córki dla samego króla; a musiało to być tem miłsze, że w tejsamej chwili przypadał termin wykupienia zastawu, na co mu brakło 13,000 liwrów.

Takie to są losy nasze niestety! Stanisław w przedniu właśnie, gdy się miał stać teściem króla francuzkiego, widzi się zmuszonym prosić o pomoc du Bourg'a, a skoro marszałek dostarczył mu żądanej summy, poczciwy i dobry król dziękując mu w tych słowach:

„Obowiązany jestem wpanu nieskończenie. W ten sposób uniknąłem wielkich kłopotów ze strony frankfurckich kupców, którym sam naznaczyłem termin wykupu klejnotów, z czegom się uścił, dzięki pomocy wpana.“

Wszystko prawie w tej książce jest interesujące dla nas. Zaczawszy od tego szczegółowego portretu Maryi Leszczyńskiej, przez Lozillière'a, tajemnego wysłańca ks. de Bourbon, który między innymi i to dodaje: „że płeć piękna i rumiana, że świeża woda, a czasem woda ze śniegu, to cały sekret jej gotowalni, bo ani różu, ani blanszu nie używa nigdy“, poruszający jest również szczegół, kiedy chodzi o sporządzenie wyprawy, w Paryżu, dla przyszłej królowej. Chevalier de Vauchoux, wysłany w tym celu do Wissembourga, od ks. de Bourbon, jest w wielkim kłopotcie z powodu, iż posyłając rękawiczki i miarę na spódnicę narzeczonej, tłómaczy się, że nie może przyłączyć i trzewika.

7

Kronika działalności kobiecej.

— Wszędzie, gdzie jest licznie nagromadzona ludność robotnicza, znajdować się musi wiele biedy, wiele braków i potrzeb, które miłosiernego wsparcia potrzebują i tak też jest w Dąbrowie Górniczej. W skutek tego żona dyrektora fabryki: „Huta Bankowa“, p. Delmont, zwróciła się do pań miejscowych z propozycją założenia Towarzystwa Dobroczynności pod wezwaniem Ś-go Wincentego a Paulo. Świętobliwe to bractwo posługuje się, oprócz Siostri Miłosierdzia, paniami świeckiego, które obowiązują się domy ubogich rodzin odwiedzać i niosąc tam wsparcie, a w razie choroby lekarstwa, sprawdzać zarazem, oile pomoc dobroczynna jest gdzie potrzebna.

— Kurs koronkarstwa, robót włóczkowych i wiązanych, został otwartym w Piotrkowie w d. 4 Maja. Nauka odbywa się codziennie od 3 do 6 godziny po południu, w domu S-rów Grabowieckich. Szkoła przyjmuje zamówienia na roboty w zakresie wymienionym.

— W korespondencji pisanej z Bulgarii do *Kraju*, między przedmiotami handlu, któreby, prowadzone od nas, znaleźć tam sobie mogły zbyt, wymienione są: bielizna, obuwie, płótno, kapelusze i tym podobne przedmioty stroju, dalej kwiaty sztuczne i konserwy owocowe. Korespondent dodaje, że nie tyle doskonałość wyrobu ile taniość jest tu warunkiem koniecznym. Bulgarzy są narodem bardzo oszczędnym, przytem Niemcy przyuczili ich do produkcji stosunkowo posledniejszej, byle taniej.

— W Prusach Zachodnich zawiązało się, towarzystwo pań, o którym minister pruski Puttkamer odzywał się w izbie poselskiej sejmu pruskiego, iż rozwija wielce ruchliwą działalność antipruską, wobec której środki zaradcze organizmu państwowego nie mają sił dostatecznego odporu. Puttkamer wykazywał, że stowarzyszenie to usiłuje rozszerzyć czynności swoją i na Pomorze, co mu się pod pewnym względem już powiodło.

— Szlachetna węgierka, Herminia Angermeyer, zamieszkała w Peszcie, została ozdobiona serbskim kobiecym orderem Natalii, za ofiarne i

bezinteresowne pielęgnowanie rannych w czasie ostatniej wojny serbsko-bułgarskiej.

— Francuzka rzeźbiarka, Amelia Colombier, otrzymała od ministra wojny zamówienie na marmurowe popiersie niedawno zmarłego generała Pittié. Popiersie to ma być ustawione w Paryżu, w honorowym salonie ministerstwa wojny.

— W ostatnich dniach Marca Anglia straciła jedną z najszlachetniejszych i najczynniejszych córek swoich, Emilię Annę, wicehrabinę Strangford i baronową Penshorst, znaną szerszej, bo już europejskiej publiczności, pod skróconą nazwą lady Strangford. Była ona najmłodszą córką lorda Beaufort, admirała floty angielskiej, który stał się ofiarą wojny Krymskiej, a córka, silnie do ojca przywiązana, tak ciężko odczuła osierocenie swoje, że dla rozerwania przygniatającej ją boleści, rodzina wyprawiła ją w daleką podróż na Wschód. W towarzystwie starszej siostry i dawnej ich obu nauczycielki, bawiła zdala od ojczyzny lat kilka, lecz nie było to już i wtedy próżniacze życie wielkiej pani, która z miejscem pobytu zmieniała nudy swoje. Pomniki zaginionej cywilizacji ludów starożytnych uderzyły młodą podróżniczkę, która poczęła je studyować i napisała w skutek tego dzieło „Egipskie grobowce i syryjskie świątynie“, a było to razem pracą i bardzo uczoną, i przez malowniczość swoją, przez swoje poetyczne pojęcie natury książką tak zajmującą, że dwa wydania znaczne, co do liczby egzemplarzy, rozeszły się w przeciągu trzech tygodni, zyskując odrazu twórczyni swojej sławę i nietylko sławę...

Młody pan, także z bardzo wysokiej arystokracji, i także uczony orientalista, oraz filolog w zakresie języków wschodnich, wicehrabia Percy Strangford, zapragnął poznać młodą pannę, studyującą pomniki Syrii, a poznawszy pokochał. I 1862 roku małżeństwo zawartem zostało — „najszczęśliwszy związek dwóch szlachetnych serc i umysłów“ pisze biograf lorda Strangford, C. Blanchard. Trwał on przecież niecałe lat siedm, bo lord Strangford był piersiowy i niedługim miał być jego pobyt na ziemi. Dla cieplejszego, mniej niż Anglia zmiennego klimatu wysyłany przez lekarzy na Wschód, rozmiłował się w jego przeszłości, zajął się jego teraźniejszością i młodzi małżonkowie wyjechali wkrótce po ślubie do Turcji, której losy silnie zajmowały umysł i pióro lorda Strangford. Ale niedługo siły młodego małżonka zaczęły się okazywać za słabe na podróże i tu oto występuje naprzód w swojej pięknej, kochającej naturze lady Strangford. Mąż jest dotknięty ciężką niemocą, ale ona potrafi być silną za dwoje i chcąc się stać wiernym jego okiem i uchem, wyprawia się w podróż dla kobiety trudną i ciężką: po Albanii, po Czarnogórze, aby przywieść mężowi jej rezultat w sportrzeżeniach, którym ufał, bo znał wyższy umysł kobiety, podniesionej nad przesady i z tego już punktu bezstronności mogącej sądzić ludzi i rzeczy. Owocem tej podróży było dzieło składkowe męża i żony, cieszące się też uznaniem wielkiem: „Zachodnie brzegi Adryatyku.“

Piękny ten związek dwóch współmiernych sobie istot, rozerwany został w 1869 r., kosą śmierci. Mąż umarł w objęciach żony, dając jej świadectwo w ostatnich swych słowach: że „jej miłość była jedynym promieniem słońca, jaki znalazło jego życie.“

Zdawało się w pierwszych chwilach, że żona go nie przeżyje, tego biednego suchotnika, na którego pieczę wyczerpywało się jej własne życie, który mógł jej udzielić jadu zabójczej choroby, zabierającej młodo ze świata. Ale żadna miłość prawdziwa nie doznaje strachu o siebie, ona go

też nie uczuła, i dopiero po stracie poniesionej zdawało się, że boleść podkopała śmiertelnie źródło jej życia. Długa choroba przykuła młodą wdowę do łóżka, a gdy z niego powstała, była to już kobieta inna. Zamiłowania literackie, świat, sława, zniknęły jej z przed oczu: wśród podróży, odbywanych między ludnościami bałkańskimi, widziała tyle cierpień, braków, niesprawiedliwości, że przejęła się ku nim sympatyą i miłością szczególną, zwłaszcza dla plemion sławiańskich. Bułgaria przywiązała ją szczególnie do siebie, a była to już teraz tylko siostra miłosierdzia, choć bez kwefu zakonnicy. Pisała do kraju, malując nędzę, jaka tu trapi ludzi, ucisk bolesny, któremi ulegają i na jej to ręce przy staraniu lorda Barrington przysyłała tu Anglia ogromne summy, któremu ona obracała nietylko w sposób najszlachetniejszy, ale i rozumny, z wielką skrzętnością ekonomiczną, która nie dała uronić darmo grosika jednego.

Co czyniła dla Bułgarii, wojującej w 1876 i 1877 r., z Turcją, rozślawiły w swoim czasie dzienniki, podnosząc wysoko jej miłosierdzie, męstwo i wytrwałność. Zbierała rannych z pola bitwy, zakładała ambulanse, sprowadzała ze wszęch stron kobiety, poświęcone dziełom miłości bliźniego i tworzyła z nich świeckie siostry miłosierdzia, przyczem wszystkim przechodziła nie raz zdarzenia, przy których potrzeba jej było rozwijać niemal energię i moc ducha. Raz wśród kolizyi, jakie wojna sprowadzać musi, została w skutek nieporozumienia więziona do niewoli przez wojska rossyjskie i niełatwo, nieprędko zdołała wykazać tożsamość osoby swej z nazwiskiem, które podała.

Odmroziła sobie w tym czasie nogi, aż do ran bolesnych, które długo goić się nie chciały i odnawiały się jeszcze potem; gwałtowne przejścia od wielkiego mrozu w czasie pochodów nie raz nocnych, do dusznego upału, panującego w chatach wieśniaków bułgarskich, oddziaływało też szkodliwie na organizm kobiety, wychowanej w warunkach innych, zwłaszcza, że się łączyły z tem silne wzruszenia, silne wstrząśnienia nerwów, pod których działaniem zaczęły się objawiać pierwsze symptoma tej choroby sercowej, na którą umarła.

Gdy wróciła do kraju, królowa zapragnęła ją widzieć i przyjęła w wyjątkowy sposób; dała pozwolenie przystępu do siebie bez pośrednictwa urzędników korony i z pominięciem przepisanych formalności etykiety dworskiej. W tym czasie urzędowała lady Strangford w Londynie na nowych warunkach swego doświadczenia szkołę pilnowaczek lazaretowych; w 1881 roku udała się jako urzędownie delegowana do Kairu, dla założenia tam szpitali i lazaretów wojskowych, a gdy nakoniec zapragnęła odpocząć w ojczyźnie po tylu latach trudów i tułania się po świecie, dających już prawo do cichego odpoczynku, zastąpiło jej drogę nowe cierpienie ludzkie, więc nowe dzieło miłosierdzia — domagać się od niej poczęło spełnienia.

Przeludnienie, na które cierpi Anglia, brak chleba dla tysięcy, zwłaszcza kobiet, wytwarza tam przepaść nędzy, której zapełnić nie może nigdy zupełnie dobroczynność, ani prywatna, ani publiczna, jakkolwiek rozmiary jej są do bajeczności ogromne. Emigracja stała się dla Anglii koniecznością, a zorganizowanie jej i przeprowadzenie w sposób rozumny i uczciwie filantropijny, stanęło przed oczyma lady Strangford, jako wielkie dzieło miłosierdzia, którego ją się zaraz z tem głębokim przejęciem, jakie charakteryzowało wszystkie jej czyny. W 1882 r. weszła w stosunki z rozmaitemi towarzystwami emigra-

cyjnymi, poznała ich statuty, ich dzieła i przy pomocy kapitałów, które wszystkie sfery składały z ufnością w jej ręce, zawiązała towarzystwo: „Colonial Emigration Society“ ze znacznym kapitałem zapasowym, udzielającym pożyczek emigrującym do angielskich kolonii uczciwym kobietom: „The Strangford Loan Fund“. Tysiąc samotnych, ciężko z losem walczących kobiet korzystało zaraz wkrótce z zapomogi tego banku miłosierdzia i szlachetna promotarka dobroczynnego dzieła uczuła się błogo zadowoloną. Po pracy wśród krwawych zapasów człowieka z człowiekiem, zaczęła przykładać rękę do fundowania cicho szczęśliwych ognisk domowych i mówiła przyjaciółom o słodkim uczuciu swoje, jakim napawało się teraz jej serce.

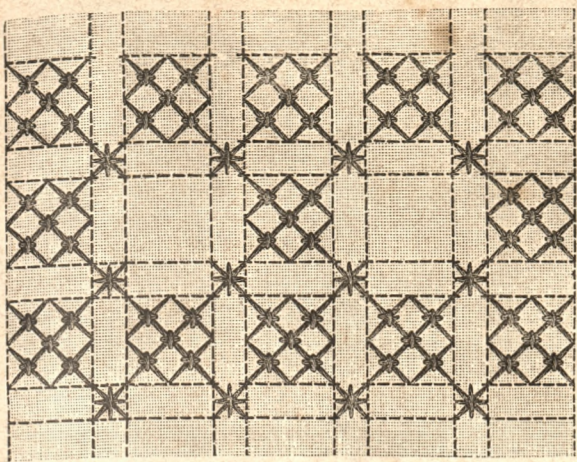
Zaczęła też rozwijać wielką energią w tej nowej gałęzi pracy dobroczynnej. Emigracja do Auckland przedstawiała warunki pomyślne i zesłej jesieni lady Strangford zaczęła odwiedzać najpilniej fabryczne miasta i górnicze okolice hrabstwu Yorkshire, Staffordshire, gdzie ze ściśniętym sercem spotykała setki nieszczęśliwych kobiet i dziewcząt, pracujących w hutach górniczych w kopalniach, w cegielniach, oddanych nietylko na łup pracy nienaturalnie ciężkiej dla kobiety, ale zarazem otoczonych wpływami demoralizującymi przy pierwszym życia rozkwicie. Wyrwała je z paszczy gorejących pieców hutniczych, z cegielni, z czarnych podziemi min, stało się dla niej nowym zadaniem, nowym celem życia. Przemawiała publicznie i prywatnie niemal zawsze po dwa razy dziennie, męczyła się przyjmując każdego, kto ją chciał widzieć, dając wskazówki, objaśnienia. Marzyła o rozsianiu wśród fabrycznych i górniczych okręgów Anglii szkół dla dziewcząt, któreby uzdolniając je do pracy na polu innym, odciągały od smutnego zajęcia ich matek, marzyła o rozpoczęciu dzieła tego z wiosną, lecz zanim przyszła ta wiosna i z nią rozwiniął się kwiat jej szlachetnych rojeń, struna życia pękła nagle...

Zimę przepędziła w Londynie, dozorując uczenice szkoły świeckich siostr miłosierdzia. W Marcu zawezwano ją, aby przytomnością swą uświęciła otwarcie położyła ręki do ostatniego urządzenia szpitalu w porcie Said, a że uważała sobie za obowiązek nie odmawiać nigdy tego, co było w jej zakresie służbą dla kraju i ludzkości, pojechała, aby nagle umrzeć w drodze. Zabił ją czwartego dnia jej podróży, na morzu, aneryzm serca!

Można powiedzieć, że cała Anglia zapłakała. Portret jej umieszczony w kobiecym piśmie angielskim: „The Queen“ przedstawia bardzo piękne oblicze o szlachetnie zarysowanych liniach czoła i nosa, z dużymi oczyma o długich rzęsach, z brwią klasyczną i delikatnymi małymi ustami, które jednak wykazywały przez silne zamknięcie swoje, mocny, wytrwały charakter. Szlachetniejszego istnienia kobiety wymarzyć trudno.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkuś 8-my powieści pod tyt.: **Konieczność**, przez M. E. Braddon.

TREŚĆ: Małgorzata Sabudzka, Królowa Włoska, przez Maryą Ilnicką. — Sonety Dantego, przekład Felicjana. — Pogawędka. — Na ruinach, powieść, (dalszy ciąg) przez Zygmunta Sarneckiego. — Nowiny paryżkie, (dokończenie). — Kronika działalności kobiecej. — Dodatek obejmuje: Arkuś 8-my powieści pod tytułem: **Konieczność**, przez E. Braddon. — 34 wzorów ubiorów i robót z opisem Sekretu gospodarskiego. — Dyspozycja stołu.

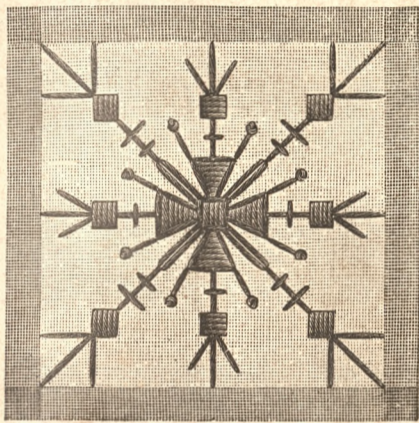


Nr 1. Szlak do fartuszka ryc. 5 w Blu. Nr 19.

Koronka szydełkową robotą.

Rycina Nr 4 w Blu. Nr 19.

Koronka z kremowej krętej bawełny, złożona z pojedynczych gwiazdek spojenych podług ryc. Rozpocząć gwiazdkę na 7 ocz. założenia, zamkniętych w kółko 1 ścis. łańc. ocz. Kolej 1: 3 pow. ocz., 23 słup., 1 ścis. ocz. łańc. w 3 z pierwszych 3 ocz. tej kolei. Kolej 2: 9 pow. ocz., na ostat-



Nr 2. Narożnik do ryc. 5 w Blu. Nr 19.

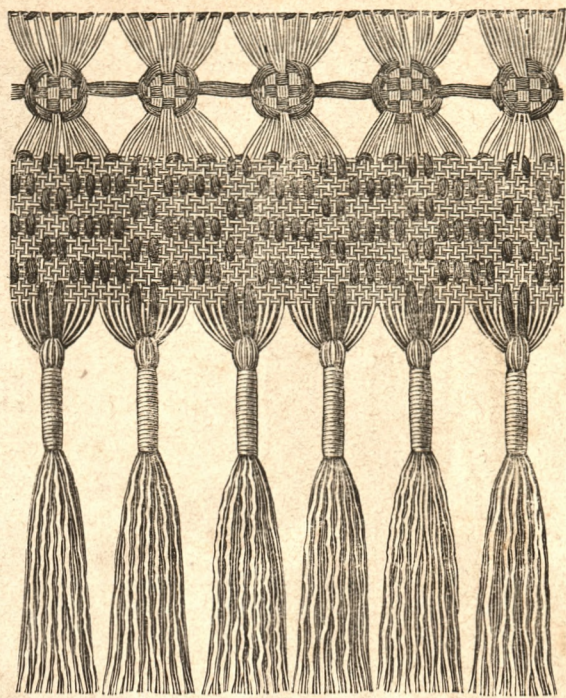
zakończyć dwoma kolejami wzdłuż roboty. Kolej 1 ciągle naprzemian: 1 o. ścis. w rożek ząbka, 5 pow. ocz. Kolej 2 ciągle naprzemian: 1 słup. w 3 ocz. z rzędu, 2 ocz. opuścić.

Podnózek haftowany.

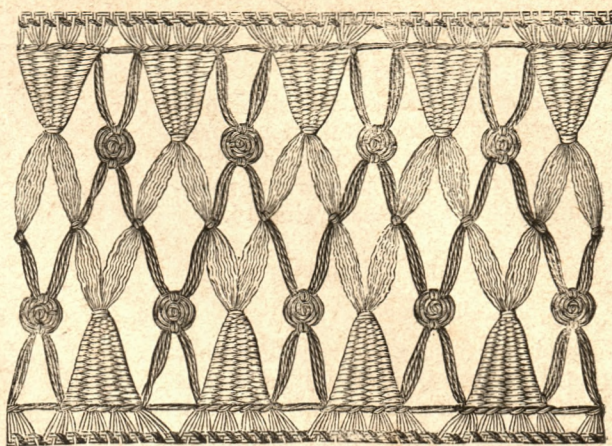
Rycina Nr 9 w Blu. Nr 19.

Podnózek 35 c. długi, a 30 c. szeroki, z tyłu 15, z przodu 7 cent. wysoki, oprawny w tkaninę wełnianą oliwkowego koloru, przyozdobioną haftem nakładanym, oraz szlakami z pasowego pluszu. Sznury szydełkiem wykonane i pomponiki z różno-kolorowej włóczki zdobią podnózek podług ryciny. Frontowa ścianka podnóżka pokryta trzema

rzędami pomponów, przymocowanych w kształcie frendzli, na sznury wykonać łańcuszek potrzebnej długości z włóczki „Congo” oliwkowego koloru, następnie obróbiwszy takowy złotym kordonkiem japońskim, przyszyć do podnóżka podług ryciny. W miejsce torsady należy wykonać łańcu-



Nr 4. Frendzla z mereszkowym szlaczkiem do ryc. 5. Wielkość naturalna.



Nr 3. Szlaczek mereszkowy do ryc. 5. Wielkość naturalna.

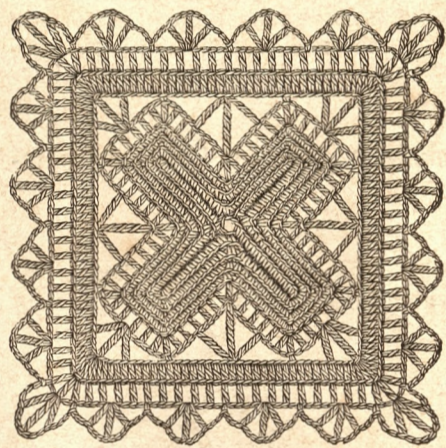
szek z przędzy złotej, we dwoje złożonej, poczem przerobić takowy jedną koleją w następujący sposób: 1 ścis. ocz., 1 pikot (t. j. 5 pow. ocz., 1 ścis. ocz. w pierwsze z nich) 2 ocz. opuścić. Sznur i torsada przyszywa się odwrotną stroną na wierzch.

Czepeczek z koronki i wstążki.

Rycina Nr 10.

Na ten czepeczek ukroić z peyntety we dwoje złożonej podstawkę 56 cent. długą, a 3 i pół cent. szeroką, zeszyć i połączyć z denkiem zmarszczonem przez środek, przez co to ostatnie przybiera formę nieco wklęsłą. Złożywszy następnie we dwoje 125 cent. długiej koronki tiulowej, 19 cent. szerokiej, należy takowej zmarszczyć w gęste fałdy i zamocować na środku podstawki, poczem ułożyć w pliski, przyczepiając lekko do podstawki. Końce koronki należy również zmarszczyć i przymocować na środku głowy. Kokardy z różowej wstążki ottoman uzupełniają czepeczek podług ryciny; węzeł

Na ten czepeczek ukroić z peyntety we dwoje złożonej podstawkę 56 cent. długą, a 3 i pół cent. szeroką, zeszyć i połączyć z denkiem zmarszczonem przez środek, przez co to ostatnie przybiera formę nieco wklęsłą. Złożywszy następnie we dwoje 125 cent. długiej koronki tiulowej, 19 cent. szerokiej, należy takowej zmarszczyć w gęste fałdy i zamocować na środku podstawki, poczem ułożyć w pliski, przyczepiając lekko do podstawki. Końce koronki należy również zmarszczyć i przymocować na środku głowy. Kokardy z różowej wstążki ottoman uzupełniają czepeczek podług ryciny; węzeł



Nr 7. Kwadrat robotą szydełkową. Zmniejszony.

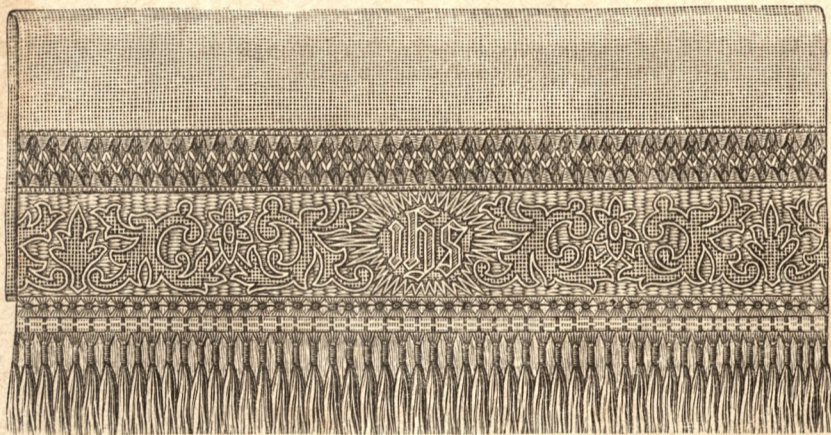
środkowy kokardy należy przeprowadzić na odwrotną stronę podstawki i tam zamocować.

Czepeczek z wstążki i koronki dla starszych pań.

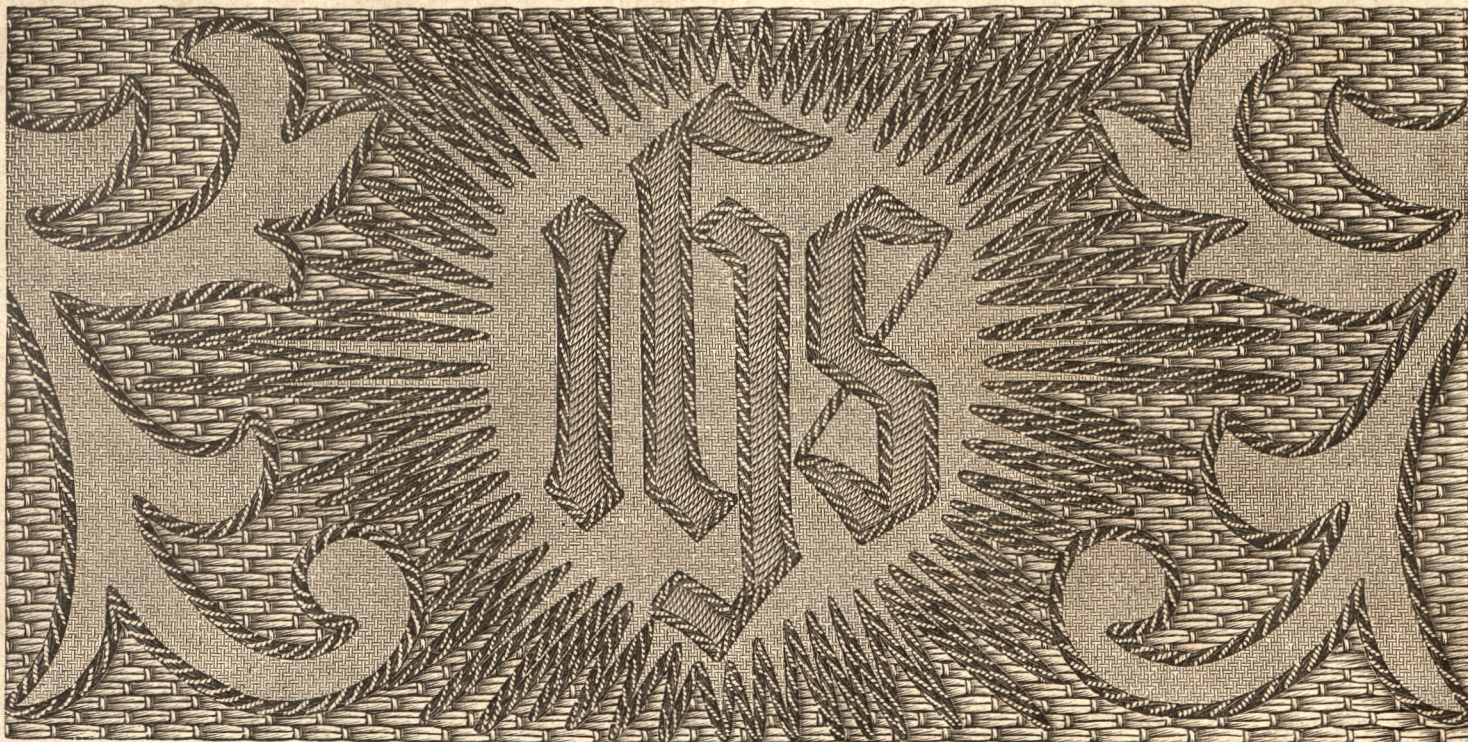
Rycina Nr 11.

Ukroiwszy podstawkę 32 cent. długą, w środku 10, po bokach 2 i pół c. szeroką, należy obszyć ją drucikiem i objać wstążeczką. Brzeg podstawki obszyć koronką tiulową 8 c. szeroką, wypuszczając tę ostatnią na 3 i pół c. Na główkę trzeba zeszyć w poprzek 3 kawałki koronki 4 i c. długie, zebrać takowe w dwie kontrafałdki, zamocować na środku podstawki, tudzież na

jej tylnym brzegu tak, aby ostatni rząd koronki wystawał. Następnie zeszyć 145 c. koronki, upiąć takową na podstawie podług ryciny, zmarszczyć u dołu na 15 cent. zeszyć z ostatnią koronką główki i przybrać czepeczek pukielkami i kokardami z wstążki lila z pikotowym brzeżkiem.



Nr 5. Serweta na ołtarz. (Do ryc. 3, 4 i 6). Wzór odwr. str. tabl. Nr V, fig 31.



Nr 6. Środkowa część szlaku do serwety ryc. 5. Wielkość naturalna.

Ozdoby z paciorek.

Rycina Nr 13 i 14

Rycina 13 przedstawia środkową część przybrania na rondko z pacioremk ametystowych nawlekanych na drut. Odpowiednią do tego przybrania rondka gałązkę przedstawia rycina 14.

Kapelusz bastowy

Rycina Nr 16

Rycina 16 przedstawia kapelusz z pletni bastowej, ułożonej na formie z łyżką; rondko odwinęte w kształcie waleczka, na denku umocowany jest rodzaj kapturka z pletni.

Suknia z wełnianego batystu.

Rycina Nr 19.

Falszywa spódniczka pokryta jest z przodu gładko jasnym batysem wełnianym w pasowy rzucik; szerokie szlaki z gładkiego materiału zdobią przód i dół sukni. Tiunika z dwóch krótkich bufiasto ułożonych koszyczków złożona, zrobiona jest z gładkiego materiału. Staniczek gładki zdobi marszczona kamizelka z materiału w pasowy rzucik. Pasmanteryjne ozdoby uzupełniają sukienkę podług ryciny.

Suknia z gładkiego i w kratę materiału

Rycina Nr 20.

Przód sukni stanowi wolant z jedwabnej materyi, w krateczkę czarną



Nr 22. Mantylka z gipiurwego materiału, jedwabnego repsu i aksamitu. Pley. (Do ryc. 15 w Blu. Nr 19). Krój pierw. str. tabl. Nr IV, fig. 25—30.



Nr 17. Suknia z gładkiego i w kratę zefiru. Przód. (Do ryc. 29). Krój i opis odwr. str. tabl. Nr VI, fig. 32—45.

z białym; przyozdobiony wachlarzykami z gładkiego popielatego materiału wełnianego; dwa koszyczki kraciaste upięte są prócz tego na falszywej spódniczce z kamlotu. Wetelement z gładkiego materiału z odwijanymi bokami, uzupełnia suknię podług ryciny.

Mantylka z gipiurwego materiału, jedwabnego repsu i aksamitu.

Rycina Nr 22. Krój pierw. str. tabl. Nr IV, fig. 25 do 30.

Po dopełnieniu złożonej fig. 25, należy ukroić z repsu stalowego koloru i jedwabnej podszewki, podług fig. 25 do 27 i 29 po dwie części, podług fig. 30 kołnierzyk z aksamitu tegoż koloru, podług fig. 28 wstawioną część pleców, poczem fig. 25 do 27 i 29 należy pokryć gipiurwą tkaniną stalowego koloru. Połączwszy fig. 25 do 28 podług liczb, należy rękawy na ramieniu przyozdobić trójgraniastymi epoletami z aksamitu, przymarszczyc od * do * i wszyć od liczby 51 do 52, poczem do wykroju szyi przyszyć kołnierzyk od liczby 53 do 54. Haft z pacioremk stalowych i stalowego jedwabiu, zdobi mantylkę zakończoną u dołu koronką 20 centim. szeroką i kwastami



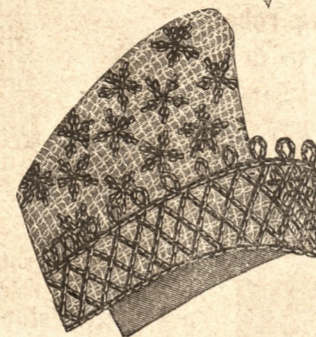
Nr 10. Czepeczek z koronki, batystu i wstążki.



Nr 13. Część przybrania z pacioremk do kapelusza. (Do r. 14). 1/2 wiel. natur.



Nr 11. Czepeczek dla starszych pań z koronki i wstążki.



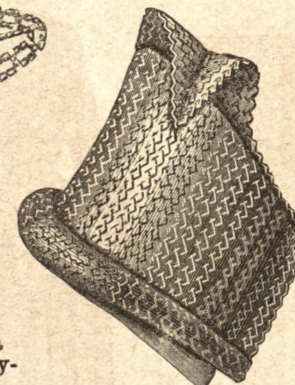
Nr 15. Kaptorka haft. perł. (Do r. 19 w B. Nr 19).



Nr 12. Węzeł do kapel. (Dor. 12 w Bl. Nr 19)



Nr 14. Gałązka z pacioremk do przybrania kapelusza. (Do ryc. 13).



Nr 16. Kaptorka z bastu. (Do ryc. 19 w Bl. Nr 19).



Nr 19. Suknia z wełnianego batystu.

Nr 20. Suknia z gładkiego i w kratę materiału.

Nr 21. Mantylka z materiału w pasy. Krój i opis odwr. str. tabl. Nr VIII, fig. 54—58.

M O D Y P A R Y Z K I E.

nowi wolant z szarego materiału w paseczki, z przodu mniej, z tyłu więcej zmarszczony. Na tiunikę należy ukroić z szarej wełny podług fig. 17 jedną część. Liczby w konturach formy oznaczają długość i szerokość takowej, liczby zewnętrzne od a i b oznaczają punkta znaków i linii, do upięcia tiuniki służących. Przyozdobivszy tiunikę u dołu i po brzegach galonem w krateczkę jedwabną, należy zamocować każdy \dagger na kropkę, kropkę c na kropkę e, wszystkie odpowiednie krzyżyki na właściwych kropkach, dwukropkę e na dwukropkę d, zmarszczyć tylny górny brzeg od kropki e do *, wszyć w pasek razem ze spódnicą, przyciem * przedniej części tiuniki należy zaopatrzyć w bufeczkę do której odpowiedni konik przyszywa się na * tylnej części tiuniki. Na staniczek należy ukroić z szarego pluszu, podług fig. 18 dwie części, z wełnianego materiału podług fig. 19 do 22 po dwie części, podług fig. 23 i 24 po jednej części złożonej wzdłuż środka, a zaopatrzwszy każdą część w podszewkę w fig. 18 i 19 należy wykończyć zaszewki, następnie przyfastrzygować przody na kamizelce, zeszyć plecy z boczka i przodami podług odpowiednich liczb, poczem w przodach kamizelki wykonać dziurki i przyszyć guziki; kołnierzyk połączony z oszewką od liczby 40



Nr 18. Płaszczek od kurza z angielskiego materiału. Przód (Do ryc. 21 w Blu. Nr 19). Krój i opis pierw. str. tabl. Nr II, fig. 112—116

z pacioremk stalowych; riusza koronkowa uzupełnia mantylkę, którą dla lepszego wcięcia należy w pasie przywiązywać do figury.

Kaftanik wełniany.

Rycina Nr 23.

Kaftanik z szorstkiego materiału piaskowego koloru, cały na jedwabnej podszewce brązowej, z przodami odstającymi na przylegającej do figury kamizelce z brązowego surah. Przody kaftanika zakończone są brązową wstążką aksaminą, 6 cent. szeroką, także wyłogi i kokardy uzupełniają całość podług ryciny.

Kostium podróży z wełnianego materiału.

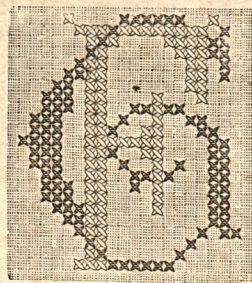
Rycina Nr 28. Krój pierw. str. tabl. Nr III, fig. 17—24.

Przybranie kamlotowej spódniczki sta-



Nr 23. Paltocik wełniany.

do 41 i przyozdobiony galonem, należy przyszyć do wykroju szyi od liczby 36 do 42. Rekawy należy ukroić podług fig. 43 i 44, przybrać pluszem i kłapczką z galonu, przymocowaną za pomocą guziczka.



Nr 24. Znak do bielizny

Jak się perfumuje papier listowy?

Saszetki położone między papierem listowym lub chustkami do nosa, bardzo dobrze perfumują papier listowy, jednak prędko wietrzeją; perfumy zaś zawsze się ma pod ręką i świeżość zapachu więcej ma powabu. Otóż chcąc list zaperfumować, należy wziąć ćwiartkę grubej szwedzkiej bibuły używanej do filtrowania, namoczyć ją całą perfumami obficie, następnie potrzymać w powietrzu, aby pierwsza wilgoć się rozeszła i włożyć w papier listowy, który za pięć minut będzie cały przesiąknięty danym zapachem. Chcąc cały zapas posiadane go papieru zaperfumować, wziąć cały arkusz takiej bibuły, nasycić go zapachem perfum, włożyć na spód szuflady czy pudełka z papierem, a dłużej zatrzymać zapach, niżeli saszetka, która się dość drogo płaci.

Nr 28. Kostium podróżny. Plecy. Do ryc. 25 w Bl. Nr 19.

L. C

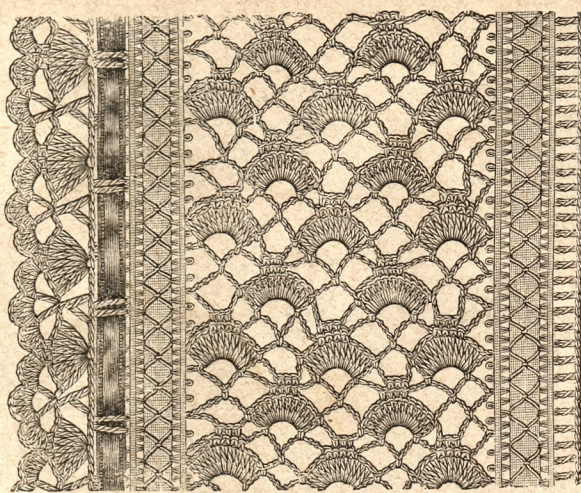
Przepisy gospodarskie

Ulepszony sposób robienia musztardy angielskiej.

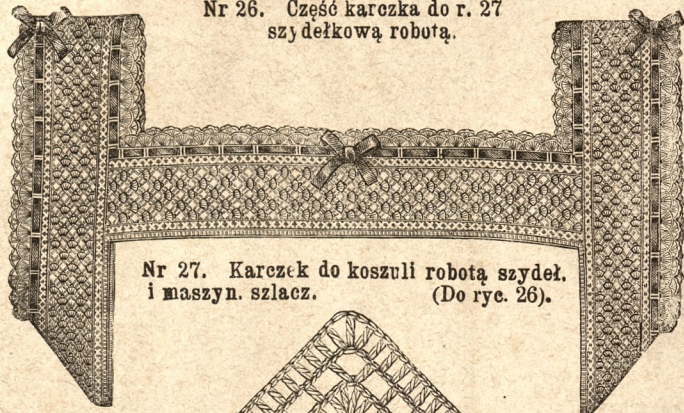
Funt prawdziwej angielskiej gorczycy pakowanej w pęcherze przesiał przez sito. Kwartę octu winnego zagotować z pół-funtem cukru i tym gotującym octem sparzyć mu-



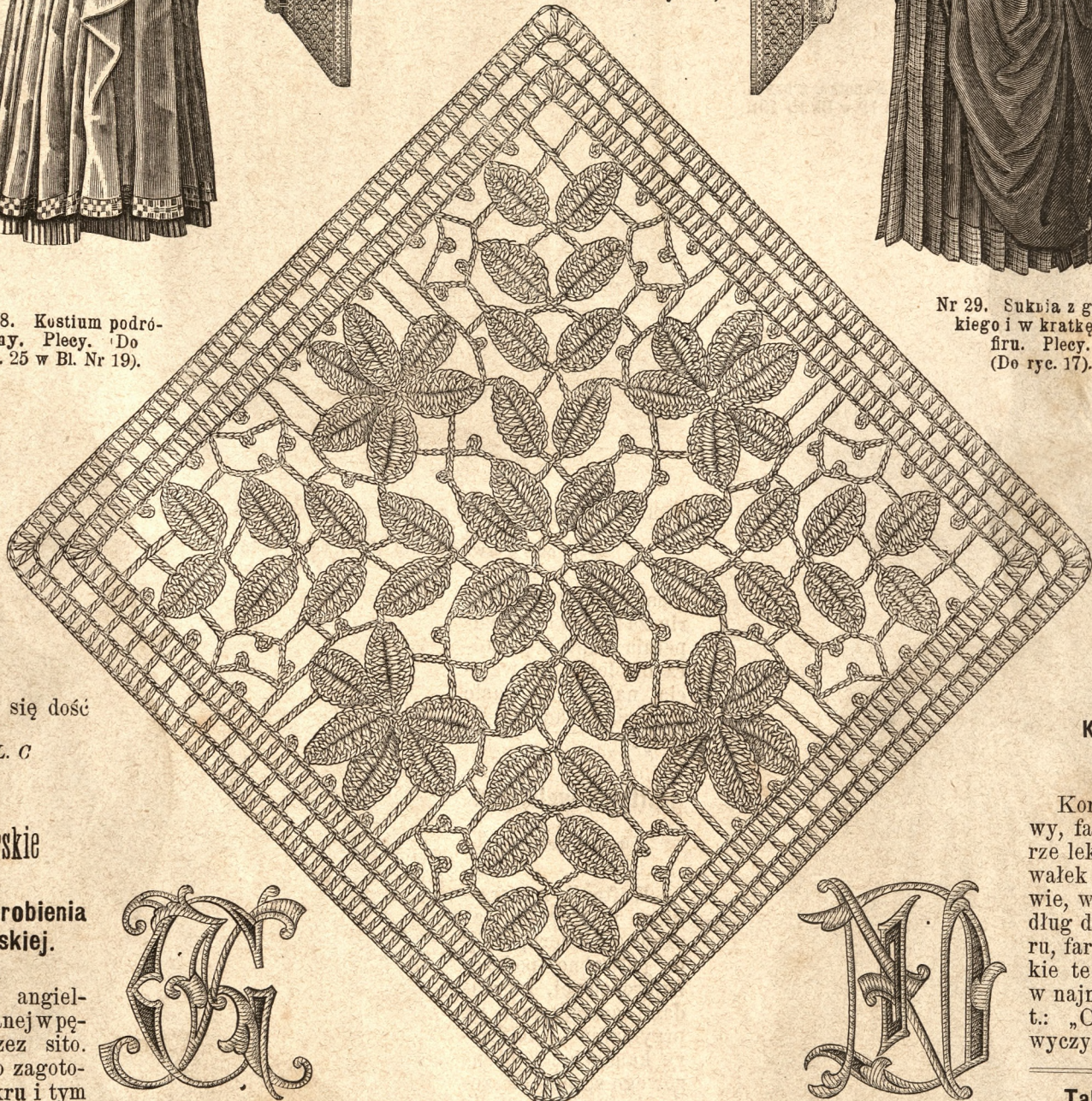
Nr 31. Znak do bielizny.



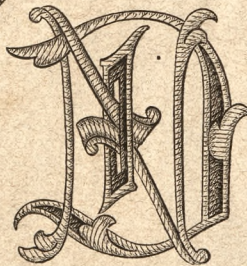
Nr 26. Część karczka do r. 27 szy dełkową robotą.



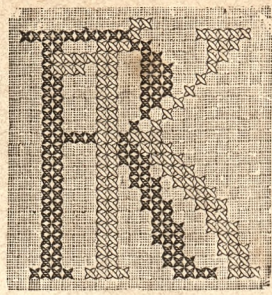
Nr 27. Karczka do koszuli robotą szydeł. i maszyn. szlacz. (Do ryc. 26).



Nr 30. Kwadrat na serwety szydełkową robotą.



Nr 32. Znak do bielizny.



Nr 25. Znak do bielizny

sztarde na donicy rozcierając wałkiem, aby się gruzolki nie robiły. Funt cukru zrumienić na brązowy karmel, rozprowadzić ten karmel drugą kwartą gorącego octu, wsypać w musztardę, to jest w gorczycę dwa łyty soli i rozebrać powoli, ciągle wierząc, ową drugą kwartą octu z karmelem, gdy dobrze wymieszane i zupełnie gładkie jak śmietana, włożyć na powrót w rondel, gdzie się ocet gotował i gotować na wolnym ogniu, mieszając łyżką, aż nabierze właściwej musztardzie gęstości. Gdyby się jednak okazało po wymieszaniu z karmelem, że są jakie gruzolki nie dosyć rozarte, co się bardzo często zdarza, wtedy należy całą musztardę przed gotowaniem przezasować przez rzadkie sito okrągłe, używane do fasowania pasztetów. Układać zaraz póki gorące w słoiki szklane, a po dwóch tygodniach musztarda będzie wyborna do użycia.

Nr 29. Suknia z gładkiego i w kratkę zefiru. Plecy. (Do ryc. 17).

L. C

Obiad na Niedzielę.

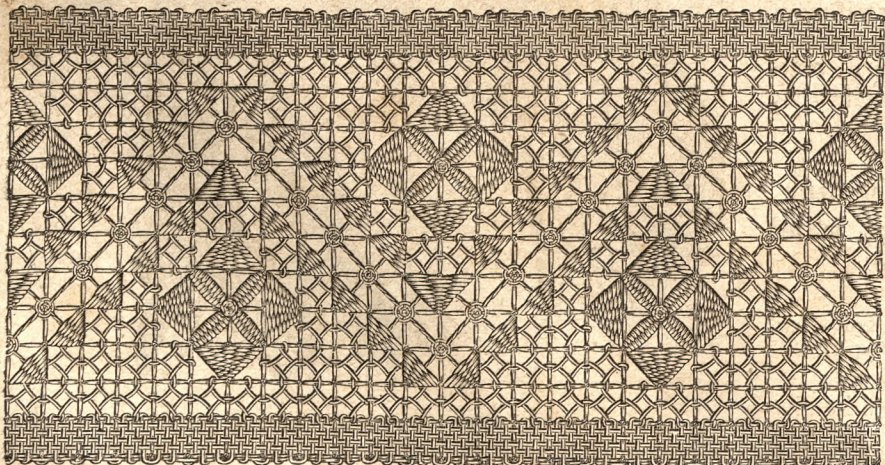
1. Zupa rakowa.
2. Sztukamięsa biała z sałatą.
3. Szparagi.
4. Kurczęta ze śmietaną.
5. Krem pomarańczowy na śmietanie.

KORESPONDENCJE.

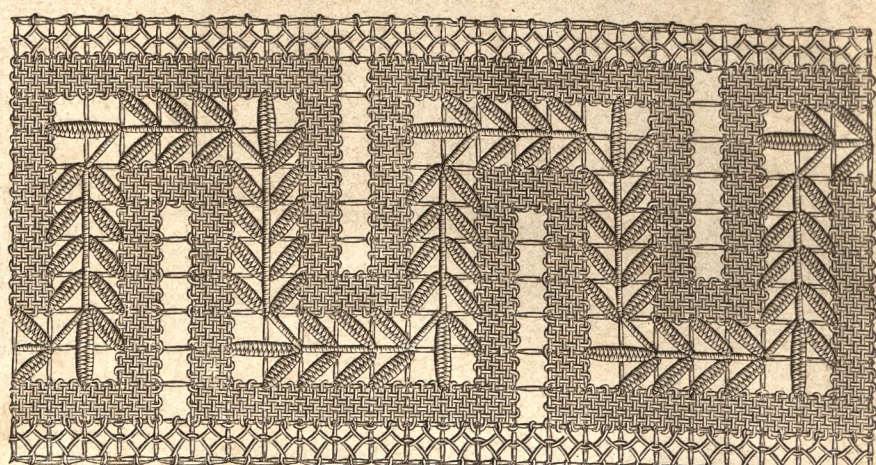
P. Helenie z Wilna.

Koronki na kolor szpagatowy, farbują się tylko w odwarze lekkiej kawy; wziąć kawałek koronki, umoczyć w kawie, wicisnąć i wysuszyć i podług dobranego do gustu koloru, farbować resztę. Wszystkie te przepisy znajdzie pani w najnowszej mojej książce p. t.: „Cokolwiek bądź chcesz wyczyścić“.

Tablica krojów dołączona była do N-ru 19 Bluszczu.



Nr 33. Wstawka robotą gipiurową.



Nr 34. Wstawka robotą gipiurową.